



BOLESŁAW LEŚMIAN

Wiedźma


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

BOLESŁAW LEŚMIAN
KLECHDY POLSKIE

Wiedźma

W noc grudniową, po sutej wieczerzy, wójt zbliżył się do okna i zasunąwszy dłonie w kieszenie, gapił się przez chwilę na śnieg, który za oknem uzbierał się we wzgórze puszyste i to błękitniał, to skrzył się znikliwie i niepochwytne odska-
kującymi od jego powierzchni gwiazdami za-
ostrzonych w ciemności brylantów.

Światło z izby na świat Boży wybiegłe roz-
widniało część wzgórza śniegowego swym sztucz-
nym, do zaduchu izdebnego nawykłym pobla-
skiem, ukazując w tym miejscu płytki¹ i sa-
motny ślad obutej stopy męskiej z głębszym
nieco wydrążeniem od obcasa, w którym ktoś

¹płytki — w pierwodruku: płatki. [przypis edytorski]

ciekawym czy też nic pilniejszego do roboty nie mający zatkwił starannie patyk, zawierzywszy go czapką dziurawą i niecałą.

Wójt z brylantów gwiazdzistych przeniósł wzrok na czapkę, jako na przedmiot wybitniejszy, który samotniał na tle śniegu tak, jakby dla braku głowy ludzkiej pod sobą czuł się bezradnie i nie mógł się do nie znanych mu potrzeb przygodnego patyka zastosować.

Wójt, patrząc na czapkę, myślał właściwie o tym, że but, który w śniegu ślad wyżłobił, był zapewne i nowy jeszcze, i mocny, a przy tym od czasu do czasu zdawało mu się, że ot — za chwilę, ni stąd ni zowąd — ów patyk samotny zdejmie nagle dziurawą czapkę i ukłoni mu się przyjaźnie, a nawet po imieniu go zawoła.

Tak czy owak — wójt gapił się i trawił wieczkę, rozprowadzając językiem po podniebieniu pozostały kędyś w chwilowym zaniedbaniu smak spożytej bezpowrotnie kiełbasy z czosnkiem, która mu zawsze i niezmiennie dostarczała tej samej, a nigdy nie wyczerpanej i nigdy dość nie wyzyskanej przyjemności.

Nagle przypadkowym spojrzeniem zawalęsawszy się ku niebu, wójt zauważył ukosem na niebie jakiś ruch pośpieszny i celowy, ani z miejscem niezgodny, ani w rozsądku ludzkim nie mający żadnego uzasadnienia.

Bacznie tedy skierował wzrok bystry w stronę przyłapanego na niebie ruchu i dla tym ściślejszego widzenia uczynił z obydwu dłoni nad oczyma rodzaj strzechy czy też okapu, aby wszystką siłę wzroku na tym jednym punkcie skupić.

Wówczas stwierdził wyraźnie, że znana we wsi baba — Bartłomiejowa, okraczywszy łopate, harcuje po niebiosach z rozpuszczonymi na wiatr włosami i powiewa białą koszulą, która na bezbronnym tle szafirów wicherzy się ogońiasto, niby jakaś śnieżycą, furkotem własnych fałd spłoszona, jakby właśnie tym szafirom takiej tylko śnieżycy w grudniu dla zupełnego zadowolenia zbrakło.

Na twarzy wójta zjawił się wyraz zgrozy urzędowej i nieludzkiego zastanowienia, które ją w końcu wykrzywiło w sposób samemu wójtowi dotąd nieznanym i w innych okolicznościach

zgoła niedostępny. Zdawało się, że ta twarz piegowata, rudymi wąsami z rzadka pod nosem potrząśnięta i płowym ślepiem zaledwo rozwidniona, w poczuciu własnej bezsiły oraz oburzenia pokurczy się nagle w pięść bezmyślną i raz na zawsze w sobie zamilkłą, aby nigdy już nie odzyskać dawnego kształtu.

Wójt był człowiekiem wyrozumiałym.

Wobec najmniej nawet spodziewanych wypadków zachowywał spokój niewzruszony i przybierał wyraz służbistej, rzeczoznawczej zadumy, jakby wszystko z góry przewidział i jeno zastanawiał się nad wyborem odpowiednich, a jemu jedynie znanych środków przywrócenia ładu i porządku. Wyraz ten odznaczał się właściwie zupełnym brakiem jakiegokolwiek wyrazu, a brak ów nadawał twarz wójta powagę, zabezpieczał od wszelkich możliwych a nieobliczalnych ze strony zwierzchności zarzutów oraz wyosabniał ją wśród reszty twarzy ludzkich, jak wyspę jałową, na której wszystko posiać można, ale nie z jednakim skutkiem.

Gdy inni, słuchając zbyt uczonej przemowy jakiegoś uspołecznionego obywatela z okolicy, poparskiwali nie dołumionym a pilnie na pogotowiu w gębie trzymanym śmiechem, aby podkreślić i wyróżnić w ten sposób słowa i zdania, najmniej, zda się, owego śmiechu żądne, wójt przez cały czas nieproszonej zresztą przemowy trwał bez ruchu i zupełnym brakiem wyrazu na skamieniałej twarzy tak przykuł do siebie bezdomną nieco uwagę stropionego obywatela, że ten ostatni do końca nie mógł oczu od twarzy wójta oderwać, jakby się bał, że poza granicami tej twarzy, jako bezimienny przytułek oczom jego usłużnie nastawionej, znajdzie jeno otchłań, która go o zawrót głowy przyprowadzi.

Po wyjściu obywatela zaśmiano się głośniejsze i zaszurano butami po podłodze. Wójt wszakże powagi swej nie poniechał. Dopiero wówczas, gdy wszystko naokół ucichło, wybuchnął nagle krótkim i gwałtownym, jak wystrzał armatni, śmiechem i natychmiast śmiech urwał, skinie-

niem dłoni powstrzymując innych od spodziewanego wtóru.

Wyrozumiałość wójta podziwiano powszechnie.

Wyrozumiałość ta jednak pierzchła wobec zjawiska, które przed chwilą zobaczył.

Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, przetarł oczy i zawołał do żony, która z izby przyległej na wołanie przyszła.

— Spójrz no przez okno w samą otworzystość nieba — rzekł głosem zmartwiałym i na wpół jeno z gardła dobytym. — Spójrz i powiedz, co widzisz. To samo, co ja, czy nie to samo?

Wójtowa wyjrzała przez okno i klasnęła w dłonie.

— Bartłomiejowa! — szepnęła, tłumiąc w pierśi okrzyk zdumienia.

— Trudno się pomylić — potwierdził wójt, smętnie kiwając głową. — I trudno baby wśród gwiazd nie wyróżnić. Znam ją nie od dzisiaj i gdybym nawet jeno koszulę pustą w niebiosach zoczył, też bym po samym kształcie, oglą-

dania niegodnym, Bartłomiejową poznał. Zamiast łopata śnieg od progu chałupy odgarniać, do powietrznego truchta² czarami ów sprzęt zniewala, aby oczy ludzkie niepokoić i niebu swą obecnością nieczystą bruździć.

Bartłomiejowa właśnie uderzeniem pięty łopatę do biegu znagliła. Włos jej szpakowaty rozpierzył się na tle nieba i wił się wzwyż ku gwiazdom, na kształt dymu bujnie uchodzącego z komina. Sztywność łopaty klóciła się nieco ze zmiennym jej klusem po niebie, a biała koszula spiętrzyła się teraz wezbranymi fałdami, jak mleko, gdy kipiąc, przez brzegi naczynia przelewa się obficie i puszyście.

— Nie darmo ją na wsi wiedźmą przezywają — szepnęła wójtowa do ucha mężowskiego, które słuchało jej szeptów, podczas gdy oczy śledziły uważnie polot baby w niebiosach.

— Kilka dni temu Galas bednarz do chaty wraca — szeptała dalej wójtowa. — Wraca do chaty po nocy. Ogląda się na drogę, a droga pusta. „Pies kulawy nigdy tej drogi nie prze-

²*truchta* — dziś popr. forma D. lp: *truchtu*. [przypis edytorski]

biegnie” — powiada Galas do siebie. Bez żadnej myśli powiedział, aby powiedzieć cokolwiek i głosu własnego w ciszy nocnej dla ciekawości posłuchać. Powiedział i za siebie się obejrzał, jakby go coś tknęło. Patrzy, a po drodze suka biegnie raba³ i wprost ku niemu się zbliża, w oczy zagląda, do nóg się łąsi. Poznał zaraz, że to Bartłomiejowa. Splunął na nią, a ona ogon pod siebie — i uciekła.

— Po czymże ją poznał? — spytał się wójt, wzroku od nieba nie odrywając.

— Po ślepiach! — szepnęła domyślnie wójtowa. — Cała się odmieniła, a ślepi w pośpiechu odmienić zapomniała. Po tych ślepiach poznał ją Galas od razu. A gorzej jeszcze sąsiadce się naszej zdarzyło. Bartłomiejowa płaksy na jej dzieci nasłała. Rozpłakały się tak, że rozum na dzień cały utraciły. Na próżno im gęby chlebem pozatykała. Płakały z chlebem w gębie, a w nocy jeszcze i przez sen ryczały. Nad ranem dopiero nacichły.

³raby — pstrokaty. [przypis edytorski]

— I chce się babie czarami duszę paskudzić i zaprzętać, jakby innej pracy na tej ziemi znaleźć nie mogła! — rzekł wójt, z obrzydzeniem wzruszając ramionami i w dalszym ciągu śledząc uważnie zmieniony nieco kierunek zachwałego lotu opętanej wiedźmy.

— Pewno z tym chceniem na świat przyszła albo je po nocy od jakiej zmory nabyła — szepnęła znowu wójtowa. — Zeszłego roku na wiosnę deszczu ludzie wyczekiwali na próżno. Nie ma deszczu i nie ma. Cóż się okazało? Bartłomiejowa deszcz w nowym garnku glinianym uwięziła i płachtą owinąwszy, na piecu garnek ukryła. Zwąchał to kowal, który w pobliżu mieszka. Zakradł się do chaty, gdy baba się kędyś zapóźniła, garnek z płachty odwinął i na własne oczy widział, jak się deszcz z garnka wprost ku niebu uniósł i z nieba po krótkim namyśle na ziemię lunął.

— Lunął? — spytał wójt z goryczą w głosie.

— Lunął! Wszyscy ludzie w polu widzieli, jak lunął.

— Trudna z nią będzie rada — zauważył wójt z westchnieniem. — Cóż jednak robić? Nie mogę pozwolić na to, aby pierwsza lepsza baba swym cielskiem byle jakim zaśmiecała powietrze, ludziom uczciwym przynależne. Muszę ją porządku nauczyć i do opamiętania się powołać!

Wójt wyprostował się, stanowczym ruchem dłoni wdział czapkę, narzucił kozuch na plecy i wyszedł z chaty.

Noc mroźna iskrzyła się w powietrzu, szronem sztywniejąc rzęsy i zapachem śniegu rzeźwiąc nozdrza, oddechem parujące.

Księżyc spełnił się w niebiosach.

Drzewa nagie, pustką przeświecając, zdawały się stać otworem na mróz i blask księżyca, jakby je pozbawiono tysiąca furt, których nagły brak narzucił się oku usilnie, niby wielka nieograniczona i nieludzka bezdomność.

Palczaste i migotliwe po wierzchu cienie padały od nich na chropawe płaszczyzny i opuchłe garby wezbranego śniegu, który z chrzęstem, do zgrzytu zębów podobnym, lgnął chci-

wie do podszew, aby je zaokrąglić i wywrotnymi uczynić.

Wójt, z głową ku niebu zadartą i z oczyma wpatrzonymi w babę upowietrzoną, kroczył bacznie w kierunku jej lotu.

Niosło ją kędyś poza obręb wsi, ku polom dalekim. Chyża łopata kłusowała niestrudzenie, od czasu do czasu nagłym galopem przesadzając niewidzialne i niezgadnione przeszkody, które, sądząc po gwałtownych skokach, były zapewne jarami, zaczajonymi w niebiosach.

Ze też dotąd jeszcze babie opętanej zmudne cielsko na mrozie od kości starych, jak tynk od ściany, nie poodpadało! — pomyślał wójt, kożuch na plecach odruchem ramion poprawiając. — Wściubiła się do nieba bez pytania, jak, nie przymierzając, świnia do rozwartego na oścież kościoła. Tak jej z tym niebem do twarzy, jak diabłu z różańcem na szyi. I gdyby przynajmniej krasą dziewiczą mogła się na wysokościach poszczycić, ale zgrzybiałe to i już

po brzegach murszy⁴, a jeszcze chce się oczom ludzkim z takiego posterunku po nocy ukazywać!

Wójt niemal z żalem i wyrzutem głębszym zwracał się w myślach do baby, której nie chciał przed czasem wołaniem od dołu spłoszyć.

Szedł oględnie, oddychając powietrzem, które w pobliżu warg twardniało mu i opór mroźny stawiało, ilekroć chciał go zaczerpnąć.

Cichy, do najścia snu białego podobny śnieg jął nagle opadać zwiewnymi ochłapami, których jasne powierzchnie, powoli wążąc się w ciemności, olbrzymiały w oku, jeśli jedną z nich upatrzyło sobie trafem dla dłuższego oglądania.

Śnieg łechtliwie osiadał wójtowi na wąsach, niepokoił nozdrza, a czarne gałęzie nagich drzew podsnuwał od jednej strony jakby samą tylko, nic w sobie, prócz własnej białości, nie mającą barwę, która swą obecność ujawniała dopiero w chwili zetknięcia się z drzewami.

⁴*murszeć* — próchnieć, psuć się, sypać się; *murszy* — dziś popr. forma: *murszeje*. [przypis edytorski]

Trwał wszakże niedługo. Przyszedł nagle i tak samo ustał. Powietrze, wszelkiego wiatru wyzbyte, ociepliło się w swym znieruchomieniu.

Wójt, nie tracąc z oczu zaciętrzewionej w swym locie baby, wyszedł już hen za kołowrót i zabrnął w pola, śniegiem bezbrzeżnie ku krańcom świata bielejące.

Po ich równi nieograniczonej ścigały się wzajem olbrzymie, ale niewyraźne cienie, których przyczyny nie można było dostrzec ani w niebie, ani na ziemi.

Śnieg to świtał, to dniał od księżyca i zdawało się, że w nim co chwila migają całe tygodnie, obszarem pól pochłaniane i do reszty świata nie docierające.

Nie było naokół żadnej przegrody oczom, prócz chyba w oddali samotnego pnia przygodnej brzozy, która sterczała nad brzegiem zaśnieżonego strumienia.

Ku tej brzozie wiedźma lot swój nagle skierowała, i wójt w tę samą stronę natychmiast podążył.

Idąc zapadał się w śniegu i musiał kożucha, jak spódnicy, unieść, aż wreszcie dobrnął do wspólnego z wiedźmą celu.

Staął pod brzozą, nad brzegiem wartkiego jeszcze od spodu strumienia, na którym cienkie skrzepy lodu, podważanego zgłuchłym chłupotem usilnych fal, to czerniały, to srebrniały w księżycu.

Sękaty cień pnia brzozowego wkroczył mu na piersi i na twarz, przekreślając jedno oko przyjemnym pasmem niedokuczliwego mroku.

Wiedźma, czy to swym polotem zbyttno zajęta, czy też w otchłanie ponad sobą wpatrzona, nie dostrzegła go dotąd, a może dostrzec nie chciała.

Krążyła teraz ponad nim — dookoła strumienia, niby jastrzęb żeru szukający.

Warkocz jej furkotał w powietrzu, niby tkanica żywa, która nie może swych włókien rozwianych pozbierać i w kształt jeden zgromadzić.

Krążąc nieustannie, utkwiała nagle w miejscu i na oślep spadając ku strumieniowi, osia-

dła w oka mgnieniu na śniegu, niby polatucha⁵ nocna, własnej potworności nieświadoma.

Jej zeszywniała koszula skrzyła się wzo-
rzyście diamentowymi pstrocinami czepliwe-
go szronu, a łopata, zgęstniałym mrozem suto
omszona, jaśniała niby berło z matowego sre-
bra wykute i zgoła nierzeczywiste...

Wójt poczuł z bliska to zakazane a nie-
chlujne życie, które w zdyszanej wiedźmie za-
trzepotało się nagle, jak kokosza w ciemnym
kurniku.

Podskoczył ku niej skwapliwie i dłonią wpraw-
ną ułapił co prędzej za gardło, które mu w rę-
kach zwęziło się i wydłużyło jednocześnie.

— Poczekaj no, psiawełno! — zawołał, do
oczu jej zazierając. — Wytataruję ci skórę za tę
twoją jazdę bezwstydną po niebie!

⁵*polatucha* — wiewiórka latająca, ma po bokach między przednimi a tylnymi łapkami fałd skórny, ułatwiający skoki ślizgowe. Pokonuje w powietrzu odległość do 50 m. Występuje w lasach od południowej Finlandii, przez Rosję, po północną Japonię. Jeszcze w XIX w. występowała również w Polsce, w Puszczy Białowieskiej. [przypis edytorski]

Wiedźma nic na to nie odrzekła, jeno schwytane gardło w rękach mu nieco dla własnej wygody poprawiła.

— Czyś wody święconej w gębę nabrała, że milczysz jak niemowa przed trybunałem? — zawołał znowu wójt, wypuszczając gardło i przenosząc dłoń bezpośrednio na kark baby. — A może siły w sobie ciulasz, aby znowu upowietrzyć i sprzed nosa mi pierzchnąć niespodzianie? Jakem wójt, na tej tu brzozie cię obwieszę, zanim pomyślę, co mam dalej z tobą czynić!

— Zabij mnie — szepnęła wiedźma głosem ochrypłym — ale pozwól pierwej łykiem gorzałki śmierć przedwczesną poprzedzić.

Na wspomnienie gorzałki wójt złagodniał i językiem cmoknął tak, jakby chciał przy tym korek z odwróconej stosownie butelczyny uderzeniem dłoni wyłuskać.

— Gorzałki nie zabraniam, bo ani to w mojej mocy wójtowskiej, ani w moich zamiarach ludzkich — rzekł, poważniejąc. — Śmierć bywa przedwczesna, ale gorzałka — nigdy. Dziw-

no mi jeno, że ci się łba upartego takie wybryki czortowskie trzymają, chociaż starość już kości twoje pogruchotała, a skórę zwijać zaczęła, jak płótno, z którym się w drogę daleką wybiera.

— Choć lat trzysta, ale dusza ognista! — odrzekła przebiegle baba i podała nagle wójtowi butelczynę najprawdziwszej gorzałki, która się w jej ręku ni stąd, ni zowąd ukazała.

— Co mam na myśli, to i na języku, a co na języku, to i w dłoni — dodała, podrygiem ręki przymuszając ponętą butelczynę do krygowania się i do tańca, jak czasem matka niemowlę dla tym lepszego okazania jego urody przymusza.

Wójt zastanowił się nad tym, skąd się tak nagle wzięła mizdrząca się doń wymownie butelczyna, i w pierwszej chwili oglądał ją z niedowierzaniem i z przykrym uczuciem narzuconej sobie samemu niechęci. Lecz wkrótce usunął na bok wszelkie podejrzenia i pokonał uciążliwą niechęć ze względu na mróz, który tak się w nim panoszył i tężył, jakby chciał mu kości spaczyć i na miał utrzcć bezlitośnie.

Wyciągnął tedy dłoń po butelczynę, a choć była niewielka, oburącz ją do ust przypiął i głowę w tył dalej, niż tego butelczyna wymagała, odrzuciwszy, wysączył zawartość do dna pierwszej, niżli z ostatnią kroplą wyczuł próżnię szklanego⁶ a obojętnego już wnętrza.

Nie domyślił się wójt, że wiedźma zaprawiała gorzałkę lubczykiem, który do miłości zniewała, i duryjem, który do szału podnieca. Czuł jeno, że dobroczynny upał wypitego trunku zagrzewa mu gościnne kryjówki zziębłych wnętrzności i zagarnia coraz szersze i dalsze okolice.

Otarł wąsy dłonią i chuchnął dla smaku zroszonymi cenną wilgocia wargami.

Wiedźma milcząc, patrzyła mu w oczy i, zda się, badała, czy lubczyk i duryj podziałały już należycie.

Podziałał snadź⁷ i jeden, i drugi, wspólnymi siłami gotując wójtowi niespodziankę, którą by nawet karą czyścicową zastąpić wolał, gdyby mu wybór dano zawczasu.

⁶szklanny — dziś popr.: szklany. [przypis edytorski]

⁷snadź (daw.) — przecież; widocznie. [przypis edytorski]

[Brak kilku kart rękopisu]

I wójt pięścią żarliwie zwartą grzmotnął się w piersi, jakby właśnie w ziemię grzeszną, o której wspomniał, uderzył.

Pogmatwały się w nim wszystkie, jakiegokolwiek miał w długoletnim posiadaniu, uczucia i myśli.

Zdawało mu się, że wśród tych obszarów śnieżnych pozbawiono go nagle urzędu, odarowano ze czci i ogołococono z powagi, bez której czuł się jak bez głowy na karku. Stratę powagi odczuł najdotkliwiej, bo wraz z nią opuściła go zdolność należytego obcowania z własną duszą i służbistego górowania ponad zwykłym poziomem zdarzeń i wypadków.

Próbował samego siebie odpowiednim rozkazem pohamować, ale nie mógł, wiedząc z góry, że żaden, nawet wójtowski, rozkaz lub pogrożka nie powściągnie go od niezwalczonej pokusy.

W twarzy jego było coś z owej osamotnionej pustki pozbytego wskazówek zegara, który na próżno nałogowym ruchem sprężyn usiłuje odmierzać dawny ład posłusznych mu niegdyś, a nagle zatraconych godzin.

Starał się przydać tej twarzy urzędowy wyraz bezosobistego zastanowienia w tej nadziei, iż z niezawodną pomocą tego wyrazu uda mu się własną duszę do porządku powołać, ale dusza z tym wyrazem nie chciała się spokrewnić i przebywała nadal w swym grzechu.

I była chwila, że twarz wójta pokryła się śmiertelną bladością.

Przestał być wójtem.

Wiedźma obrzuciła go wzrokiem domyślnym i niespokojnym.

— O czym tak sumujesz, że liczko ci osowiało i pobladło, jakbyś chciał tą bladością chatę własną pobielić? Wróć do siebie i nie lękaj się onego powrotu, bo zastaniesz duszę na miejscu, a ciało — na oskrzydleniu.

— Nie mam do czego i do kogo z mej nieprzytomności powracać — rzekł wójt po-

sępnie. — Anim ja człek Boży, ani wójt, ani gospodarz, jeno stworzenie bezimienne, które z lękiem i zgrozą nazwy własnej od kogoś wy-
czekuje.

— Przyzwyczaj się do myśli, żeś mój, i my-
śli tej w sobie nie unikaj — odparła wiedźma.
— Unikając siebie, Boga ominiesz, że od nie-
chcienia Imię Jego wspomnę na śniegu dla sa-
mej białości obojga.

Boga wspomniała! — pomyślał z ulgą w ser-
cu wójt i spojrział na śnieg, że to właśnie z tego
śniegu wspomnienie owo wyszło.

— Biało tu, biało, jakby się w każdym oku
łabędź inny napuszył, lewy — w lewym, a pra-
wy — w prawym — szepnęła wiedźma. — Ot,
obydwa te łabędzie oddałabym za to, aby się
z tobą w czerwonym ogrodzie u samej czer-
wieni spotkać!

— A dalekoż ów ogród czerwony? — spy-
tał ciekawie wójt.

— Nie ma go wcale — odparła wiedźma
— ale chce się, aby przynajmniej na chwilę
w rozmowie naszej poistniał.

— A chce się — zgodził się wójt, dziwiąc się temu chceniu.

Wydało mu się, że ogród czerwony poistniał właśnie w jego oczach i znikł, strzępami cudacznej czerwieni osypując się w mrok nocny.

— Mróz mi w kościach trzeszczy, jak w płocie chruścianym — rzekł po chwili, dłońmi siebie po ramionach na krzyż uderzając.

— Tańcem cię zagrzeję — pochwyciła starucha, obejmując go wpół do tańca.

— Gdzież mi tam teraz do tańca! — drożył się wójt i wzbraniał wstydliwie. — Nie wójtowskie to zajęcie i osobie mojej nie przystoi.

— Nie zarzekaj się tańca, póki weń nogami nie utrafisz! — upierała się baba, obskakując wójta dokoła.

Wójt chronił się jeszcze natarczywym umizgom wiedźmy i odwracał się do niej tyłem w chwili, gdy właśnie, przytupując nogami, do płasów go zachęcała.

Wszakże opór wójta słabnął, bo czar, który szedł nań od staruchy, zwiększył się jeszcze,

gdy ujrzał, jak się jej nogi do tańca rwą, niby dwa psy, z łańcucha spuszczone.

Struchlał jeno na myśl, że resztę swej powagi durnym płasem po obszarach śniegu rozsieję. Zdawało mu się, że na widok tego płasu Rany Boskie w białym śniegu się pootwierają, aby mu przypomnieć, że od nich swój rodowód ma, a wbrew temu rodowodowi w objęciach rozpląsanej wiedźmy ducha człowieczego pogrzebał.

Lecz zgroza wójta pierzchła w oka mgnieniu, gdy wiedźma, wpół go ująwszy, warkoczem swym otuliła, aby tym płaszczem osłonić wszelką zgrozę i obawę.

Lubczyk serce mu zmiękczył, a duryj uderzył do głowy i tak się tam zakotłował, że jednocześnie i nogi pod wójtem zakotłowały się skocznie, zdradzając niedołączną nieco, bo zgoła przygodną ochotę do nie znanego im tańca.

Pewno już tańczę... — pomyślał z niepokojem i stwierdził, że przebiera nogami, jakby na wypródki lewą nogą prawej umykał.

Splunął więc tylko na stronę dla zaznaczenia pierwotnego względem tańca stanowiska — i zawirował po śniegu, starając się na chybił-trafił pogodzić swe gwałtowne poskoki z rozszalałymi podrygami wiedźmy.

Wbrew oczekiwaniu pląsał lekko i wprawnie, podniecany siłą tajemną, która w tej chwili wyłącznie niemal poruszaniem nóg jego była pracowicie zajęta.

Zdawało mu się, że nie tylko on na tych polach śnieżnych, lecz i pola śnieżne pod nim tańczą, wirując i poskakując, i uderzając o jego stopy pierwej, niż się tego spodziewał.

Wirował po powierzchni śniegu, nie zapadając się w jego puchy i nie nadłamując kruchej powłoki szronistego opancerzenia, bo wiedźma niosła go zwiewnie, odskakując od śniegu z radosnymi okrzykami, jak gęś, gdy z wielkim hałasem do niskiego lotu się zrywa.

Warkocz jej furkotał, niby latawiec, wichrem szarpany, a srebrna od mrozu łopata biegła przodem w rozszalałym galopie, równając zawczasu

wydymiska śniegowe i zasypując jary, błękitnym cieniem dymiące.

— Dyszysz? — szepnęła wiedźma, porywając wójta w niespodzianą dlań stronę świata, dokąd ją zachcianka taneczna nagle skierowała.

— Dyszę — odszepnął wójt, uzręczniejąc się do nowego poskoku w powietrzu, którego od śniegu nie odróżniał, gdyż wespół ze śniegiem bielało mu w oczach, tańcem obłąkanych.

— Tańcz, póki sił! — zawołała wiedźma, tuląc go do siebie.

— Często tak tańczysz? — spytał wójt i czyniąc po raz pierwszy w życiu nie znany mu dotąd piruet, zdziwił się, że przyszedł mu z taką łatwością.

— Jak się zdarzy — odparła wiedźma nie dbale.

W tej chwili przed oczyma wójta przemknęło coś, niby imbryk hebanowy, dwukrotnie złotem nakrapiany.

— Kruk? — spytał wójt przelotem.

— Kruk — potwierdziła wiedźma. — Skradzionymi dukatami pozłocił dziób i ogon. Za-

miast krakać komu na śmierć, złoci się na ponętę.

— Złoci się! — zawołał wójt i jakby pod wpływem tego zjawiska ze zdwojoną szybkością zawirował po śniegu.

Ale po chwili, na kształt potwornej szarańczy, zatrzepotał skrzydłami w świetle księżycowym zjaw, który wójt rozpoznał od razu.

— Szataniec! — szepnął, czując, że nogi pod nim chwieją się i plączą w tańcu, jakby miał ich na razie za wiele.

— Mój dawny powiernik — odrzekła wiedźma. — Leci jak szalony. Zawsze lubił pęd i niepochwytność.

Szataniec, kształtem nietoperzowym na wznak strzeliście wydłużony i jakoby na wezglowiu niewidzialnym wsparty, przemknął i znikł w od-
dalach.

Zachwiana na chwilę ochota powróciła wójtowi. Z hulaszczą swawolą próbował na śniegu najzawilszych skoków, skrętów i wirowań, a wszelkie zamysły taneczne udawały mu się jak wprawnemu tancerzowi.

Szkoda wszakże, iż nie mógł wójt, a i czasu nie miał, aby teraz na siebie samego ze strony popatrzeć!

Oczy skrzyły mu się ogniem obłądnym, szczęki poruszały się pomocniczo w takt tańca, nogi migwały w księżycu jak szprychy potworne, a twarz przybrała taki wyraz, jakiego z pewnością żaden wójt na świecie nigdy jeszcze nie miał i mieć nie pragnął!

— Kochasz mnie? — spytała nagle wiedźma w chwili, gdy wójt myślał właśnie, czy ma wywrócić kozła⁸ na śniegu, czy też na potem ów zwrot taneczny odłożyć.

— Kocham — odparł wójt i nie wywrócił kozła.

— Zabiłbyś dla mnie żonę własną? — spytała znowu wiedźma i łeb swój do wójtowskiej twarzy, jak kufer do ściany, przydźwignęła.

— Kto wie, czy nie zabiłbym? — odpowiedział wójt zuchowato i zmajstrował nogami takiego hołubca, aż mu w krzyżach jakaś mniej

⁸*wywrócić kozła* — wykonać przewrót z wyskoku; fiknąć fikolka. [przypis edytorski]

posłuszna sprężyna zgrzytnęła kilkakroć, zanim z powrotem na dawnym miejscu osiadła.

Atoli pod zgrozą słów, które wymówiwszy, własnym uchem natychmiast pochwycił, oraz pod nieprzewidzianym wpływem gruntownej w krzyżach rozterki zgubił nagle rytm nie znanego mu zresztą tańca, wykoleił się z nabytego wiru i zanim wiedźma zdołała jego ślepy zapęd pohamować, runął w śnieg z takim odruchem, jakby go ktoś przez okno z któregoś piętra wyrzucił.

Nosem utkwiał na sztywnym rąbku własnego kozucha, który od dawna zwiął się z jego rozpląsanych barów i z rozkrzyżowanymi rękawami poległ płasko na śniegu, jak nieboszczyk, przed chwilą zamordowany, a sam siebie jeszcze żałujący.

Wójt leżał jak długi, i zamierzając powstać, z przerażeniem uświadomił sobie własną, uciążliwą w tej chwili, rozciągłość i uczuł przy tym coś, niby raptowny, choć niejasny brak pośpieszenie zapotrzebowanej drabiny.

Zdawało mu się, że zbyttnio się splaszczyl i, gdy wiedźma z upadku go podniosła, miał takie wrażenie, jakby się na nowo uwypuklił i po dawnemu wypełnił przynależne mu a utracone chwilowo miejsce w przestrzeni.

Zuchwałe znużenie taneczne, zapóźniając się leniwie, trwało jeszcze w jego rozbrykanym ciele i upajało go kuszącym poczuciem nieograniczonej lotności i rozkosznego przewyciężenia niewiadomych przeszkód, które, zda się, poroztrącał zwycięsko wierzgając w płasie nogami.

Zagrzał się i parował, jak siano w stodo-
le, i oddychał jeszcze w takt przerwanego na-
gle tańca, ale jednocześnie czuł się zhańbiony,
oplwany i ośmieszony, jakby mu kto z tyłu pę-
cherz z grzechotką przypiął, a na plecach kredą
trafne przezwisko lub dotkliwą połajanekę na-
kreślił.

Z zalem spojrział na łopatę, która, jedno-
cześnie z jego upadkiem poniechawszy swej pra-
cy usługowej, zatkwiła się tuż obok w śniegu
i sterczała, gotowa na rozkazy.

Wiedźma pod brodę go ujęła pieszczotliwie i do oczu, czapą nakrytych, jak do gniazda ptasiego zajrzała.

— Kto kocha, ten myśli czyta — szepnęła, zakłócając uśmiechem zastygłą sieć zmarszczek na twarzy. — Wiem, że chciałby mój gołąb do gołębnika z powrotem pofrunąć, jeno nie może więzów miłosnych bez mojej pomocy rozluźnić...

— A chciałby... — odpowiedział wójt, traktując siebie jako osobę trzecią ze względu na mgliście odczuwaną obcość i nowość tej złądaczzonej a nieodczepnej osoby.

— I rozluźniłby więzy bez żalu, żeby skrusze zbyt uczynnej pofolgować? — spytała znowu wiedźma i niespodziewanym uderzeniem dłoni wtłoczyła mu czapkę aż po uszy.

— A rozluźniłby — wyznał wójt spod czapy i przywróciwszy jej należyte na głowie stanowisko, dodał:

— Figlujesz?

— Do domu wracaj, sokoliku rudy — odrzekła wiedźma, na pytanie nic nie odpowia-

dając. — Wracaj, pókiś jeszcze drogi nie zapomniał. Lecz pamiętaj, że jutro w nocy musisz czekać na mnie w tym samym miejscu, gdzie cię za chwilę, odlatując, zostawię, aby od tego miejsca taniec przerwany na nowo rozpocząć. Niedługo mi tego tańca z tobą, bo już za trzy dni na tamten świat się wybieram, jak na żebry nieznane, i chcę te trzy dni z tobą przetańczyć, aby mnie śmierć znużoną płasem zastała i tym łatwiej mogła do reszty znużyć i ukoić. Dlatego też zakazane mi imię Boga wspomniałam, że Mu już bliżej do mnie niżli mnie — do Niego, bom się odeń na sto mil ziemskich oddaliła, a On się ku mnie, śmiercią moją zwabiony, na sto mil niebieskich zbliżył, aby mi siebie, jako dom opuszczony, przypomnieć.

— Wrócisz do domu onego? — spytał wójt ciekawie i trwożnie.

— Wracaj ty do swego, gdzie żona cię twoja czeka — odparła wiedźma wymijająco. — Nic ci ja złego nie zrobiłam, więc mnie we wspomnieniu nie przeklinaj. Przebacz jeno, żem ci

tę czapę aż po uszy wcisnęła, nie mogąc nic innego podówczas uczynić.

Wiadomość o bliskiej śmierci wiedźmy nie wzruszyła wójta tak wielce, jak się tego z przedwczesnym lękiem w duszy spodziewał, wzdrygając się z góry na jeden jeszcze więcej dowód niewytłumaczonej miłości.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wiedźma dosiadła wiernej łopaty i w oka mgnieniu wzbiła się ku niebu, znikając mu z oczu.

Wójt, brnąc w śniegu, udał się w drogę powrotną. Idąc, co chwila s pluwał, jakby się nie mógł naspluwać do syta i pozbyć jakiejś zbyteczności w gębie.

Najbardziej go zbijała z pantałyku ta wstręt na okoliczność, że ilekroć splunął, tylekroć tęsknotę do znikłej w niebiosach wiedźmy poczuł.

Lubczyk i duryj wciąż jeszcze, widać, działały, chociaż działanie ich złagodzone było nieobecnością głównego przedmiotu. Opętane serce wójta to wrzało gniewem, to miękło na wspomnienie szpakowatego warkocza, którego do-

tyk czuł jeszcze w dłoniach od mrozu zgrabia-
łych.

Taki ze mnie wójt, jak z żony mojej królo-
wa — myślał w duchu, choć w żonie był skąd-
inąd rozmiłowany i częstokroć mniemał wła-
śnie, że jest do królowej, jak dwie krople wody,
podobna.

Ominął już kołowrót i wszedł w pierwszą
pustą ulicę, gdzie kuźnia stała, do połowy śnie-
giem zakapturzona.

Na końcu ulicy zoczył chłopca samotnego,
który, pogwizdując, szedł mu właśnie na spo-
tkanie. Na widok chłopca spostrzegł wójt na-
gle, że kozucha nie ma na sobie. Zapomniał
go wdziać w pośpiechu, zbyttno myślami swy-
mi zakłopotany.

Zaklął pod wąsem i chciał chłopcu ujść na
stronę, ale już było za późno.

Zobaczy, że nie mam kozucha, i jeszcze za-
pytać gotów, gdzie go sprzedał lub przepił —
pomyślał wójt. — A jeśli domyślny, zgadywać
coś zaczniesz, aż i zgadnie wreszcie lub — nie daj
Boże — na kozuch w polu trafi!

Chłop zrównał się z wójtem i stanął, jak wryty, przerywając nagle pogwizdywanie.

I wójt stanął przeciw woli, jakby z powodu, że chłop pogwizdywać przestał.

Starął się przy tym tak jakoś niedbale ramionami poruszać, jakby chciał tym ruchem nieobecność kozucha zbagatelizować.

— Bajtała? — spytał chłop, nasłuchując potwierdzenia swego domysłu i nie poznając wójta po nocy.

— Taki ja Bajtała, jak ty Karasiński! — odparł wójt ze złością i sięgnął dłonią, aby kozuch nieobecny do ciała zbliżyć, lecz w porę dłoń powstrzymał.

— Karasiński? — powtórzył chłop z opieszalą i poczucia czasu nie mającą ciekawością. — Jakież to Karasiński?

— A taki właśnie, jak żaden! — rzekł wójt, z lekka przysiadając do ziemi i wydziwiając od słusznej zresztą złości. — Nie tylko on, ów Karasiński, jeszcze się nie narodził, ale i nigdy się nie narodzi, byle tylko gęby twojej przy księżycu nie oglądać!

I wójt pośpieszył w dalszą drogę, pozostawiając rozmownego chłopa, który wciąż trwał na dawnym miejscu, o Karasińskim zadumany. Dotarłszy do swej chaty, wójt postąpił chwilę przed progiem, westchnął, splunął, przeżegnał się, machnął ręką i wszedł do wnętrza tak rozpaczliwie, że czekająca nań do późna wójtowa, zauważywszy tę rozpacz i brak kożucha, klasnęła w dłonie i wydłużyła twarz okrągłą.

— Co się dzieje z tobą! — zawołała.

— Źle się dzieje — mruknął wójt posępnie i strzepnął ze siebie ochłapy śniegu, które, osypując się kolejno na ziemię, tajały w zaduchu izby i nikły z wolna w oczach.

Wójtowa słynęła z piękności i z pańskiej niemal ogłady. Pielęgnowała się starannie i nie szczędziła dokoła swej osoby zachodów rozmaitych. Nosiła się po miejsku i miała właśnie na świadomych swej urody nóżkach pantofle z kokardami, które wójt dwa lata temu z miasta jej przywiózł w podarunku imieninowym. Ręce unikaniem pracy doprowadziła do względ-

nej białości, która urywała się nagle w miejscu pierwszego zgięcia palców, noszących urocze już dzisiaj ślady dawnego zaniedbania i zakończonych czarnymi jeszcze i zgrubiałymi paznokciami.

Ruchów wójtowa nabyła przewlekłych, zbytecznych i jakby niechętnych sobie samym, wstydząc się zapewne trywialnego pośpiechu i naśladowując widziane z dala, a więc niezupełnie czytelne i zrozumiałe ruchy dwóch panien ze dworu. Wójtowa nawet i tę niezrozumiałość przywoiła sobie i potrafiła nią niejednego zalotnika spośród panów oczarować, zastanowić i zakłopotać.

A wstydzić się umiała tak, jak chyba żadna wójtowa na świecie! Wstydziła się spojrzeń męskich i pogwaru męskiego, których spodziewała się zawczasu, ilekroć z chaty na ulicę wyjść zamierzała.

Wójt cenił ją, kochał, dogadzał we wszystkim i niczego nie skąpił.

Tym większą była rozpacz jego w tej chwili.

— Źle się dzieje! — powtórzył wójt. — Nie jestem ja, widać, ani wójtem, ani mężem twoim, jeno osłem i dudkiem w jednej osobie, która nie tylko głowę, lecz i kozuch zgubiła, żeby ludziom, po drodze spotkanym, swą nikczemność i hańbę odsłonić!

Wójt spuścił głowę i rozwiódł dłonie dla okazania swej niemocy, która przekroczyła w nim wszelką możliwą granicę.

Wójtowa spłoszyła się i skupiwszy ramiona, przywarła dłoń do piersi, żywszą falą marszczącej luźną osłonę stanika.

— Mów! — szepnęła, nastawiając nań oczy czarne i uważne.

— Zakochałem się i kwita! — wyznał nagle wójt i złęczony własnym wyznaniem próbował się uśmiechnąć, lecz uśmiech w pół drogi skamieniał, pozostawiając jeno po sobie w półrozwartą gębę, która zdawała się dławić wyrzeczonymi przed chwilą słowami.

— W Bartłomiejowej? — spytała z niedowierzaniem wójtowa i krzywiąc usta, zamilkła.

— Ano, w Bartłomiejowej — potwierdził wójt i spuściwszy oczy, głową smętnie pokiwał.

Wójtowa zaśmiała się cicho, podbiegła do męża i drobnym a ciepłym pantofelkiem nastąpiwszy na but zimny i szeroki, wspięła się ku niemu, splecionymi palcami uczepiła się za ramię i na tych palcach złożonywszy biały podbródek, szepnęła:

— Nie wierzę.

— I ja nie wierzę! — odparł wójt. — Nie wierzę, a jednak wiem na pewno, że jest tak, a nie inaczej.

— Nie wierzę! — powtórzyła wójtowa, cofając się o krok od wójta. — Co innego się stało, a co innego mówisz.

— Nie co innego, ale to samo właśnie, co mówię, bom doznał tego jak choroby — odrzekł wójt i pięścią po głowie się uderzył.

— Taka stara... — zauważyła wójtowa.

— Nie taka ona jeszcze stara, jak się z daleka wydaje — wtrącił wójt niechcący i z przerażeniem wytrzeszczył oczy na żonę.

Wójtowa nie była tak zaniepokojona, jak się tego wójt obawiał.

Zadumała się tylko i po chwili rzekła:

— Otumaniała cię wiedźma czarami.

— Otumaniała! — pochwycił wójt z rozpaczą i wzdrygnął się na myśl o tym, że stał się bezbronnym miejscem nie znanych mu praktyk wstrętnej wiedźmy.

— Co robić? — szepnął bezradnie i nie patrząc na żonę opowiedział wszystko, co się z nim stało.

Zawstydziała się wójtowa, słuchając opowiadania, ale, zbyt pewna swej przewagi niewieściej nad starczymi pokusami chytrej wiedźmy, zachowała ów miękki i ciepły spokój, który zawsze i duszę jej, i ciało wypełniał i, jak balsam wonny, udzielał się wójtowi, ilekroć ten ostatni, wracając do chałupy, wstępował z nawykiem w zakłócony chwilowo sprawami publicznymi nurt małżeńskiego pożycia, pełnego dostatniej ciszy i zadowolenia.

Dosłuchawszy cierpliwie do końca niedołącznych i zawitych wynurzeń męża, wójtowa wy-

dała westchnienie, łatwo i bez żadnego szmeru z piersi młodej i gładkiej dobyte, które wójt lubił właśnie za tę jego łatwość i bezszmerność.

— Stało się! — rzekł wójt, na zakończenie bijąc się w piersi w tragicznym poczuciu bezpowrotnie popełnionego grzechu. — Dowiedzą się ludzie i może nawet wójtostwa mnie pozbawią. Jakże ja im teraz w oczy spojrzę? Ani prawa nie mam, ani chęci, ani śmiałości!

— Znajdziemy jeszcze i prawo, i chęć, i śmiałość — pocieszyła go w liczbie mnogiej wójtowa, pokładająca nieokreślone jakieś a nieustanne nadzieje we własnym wdzięku i uroku. — A w moje oczy zawsze ci spojrzeć wolno. To jedno mi się tylko nie podobało, żeś z babą tańczył tak długo. Czyś nie mógł ani jej, ani sobie w tańcu odmówić?

— Bóg widzi — nie mogłem! — ryknął wójt niemal z płaczem w głosie i niezgrabnym od wstydu ruchem drżącej dłoni wskazał nogi własne, jakby na dowód, że ich to miejscowa i osobista wina, za którą w tej chwili przynajmniej odpowiadać nie może.

Wójtowa ze wszystkich przywar płci brzydkiej najgłębiej i najtkliwiej odczuwała bezradność męską, której dotąd wszakże nie mogła mężowi zarzucić, a którą teraz właśnie z biciem serca stwierdziła i lepiej, niżli on sam, zrozumiała.

— Trudno! — rzekła. — Musowi w poprzek nie staniesz i przetańczonego tańca cofnąć nie potrafisz. Nie kłopotz głowy tym, co się już nie odstanie. Rzuciła wiedźma czary na słabość twoją męską, bo i z czegoż miała, jak nie ze słabości owej, korzystać? Trzeba teraz pomyśleć o tym, jak urok wiedźmy odczynić, aby szczęściu naszemu nie bruździł. Noc prześpimy, jakby nic się nie stało, a nazajutrz do Jędrzejowej pójdziemy, bo ona zna się na tym i zaradzi. Nieraz się jej zdarzało i uroki odczynić, i choroby zawiązywać, i zmory wszelkie odpędzać. I nam ona z pewnością w kłopotcie naszym pomoże.

— Pomoże, powiadasz? — przepytał wójt ze źle ukrytym niedowierzaniem.

— Byleby się jutra jako tako doczekać — odrzekła wójtowa, wygładzając stanik na piersi, i udała się do izby przyległej.

Wójt za nią posłusznie podążył.

Noc minęła szczęśliwie, bez żadnych przygód, a chrapanie znużonego tańcem wójta, rozdzwanianą jakąś źle w ramach umocowaną szymbę, było niezbitym dowodem tego, iż wójt wypoczywa i nowych sił przed jutrem niepewnym nabiera.

Nazajutrz na doświtku wójt, jeszcze od snu się smakowicie odsapując, po krótkim porozumieniu się z żoną wychynął lękliwie z wnętrza ciepłej chałupy na mróz poranny i unikając oczu ludzkich, cichaczem przedostał się na pole, aby kozuch odzyskać.

Z odzyskanym kozuchem i z pewną ulgą w sercu do domu powrócił i skoro świt się na niebie rozetlił, wraz z żoną do Jędrzejowej pośpieszył.

Jędrzejowa na samym niemal skraju wsi mieszkała, w pobliżu cmentarza, w tej części, gdzie

się chaty przerzedzały, jakby rozstępując się i dając drogę drzewom i polom.

Słońce tam szerzej i swobodniej rozrzuciło swe olśnienia po niewzbronnie białym śniegu, na którego błyskotliwej płaszczyźnie jeno tu i owdzie dorywcze ślady zawieruszonej stopy ludzkiej błękitniały w swym pogłębieniu cieni-
stym, niby puste puzdra.

Wójt i wójtowa chyłkiem do szczupłego wnętrza chałupy wnikli i powitali Jędrzejową, która, siedząc na okrytym chustą kufrze, kołysała na kolanach dziecko roczne i nuciała mu do snu bez słów, zadumą słowa dla siebie już, a nie dla niego zastępując.

Wdową była od dawna, a dziecko rok temu jej przybyło, lecz tak się jakoś stało, że ludzie, widząc ją zawsze samotną i nie mogąc ani też nie chcąc z nikim jej w myśli stowarzyszać, bezwiednie przyswajali to dziecko nieboszczykowi Jędrzejowi, nie mówiąc zresztą o tym pomiędzy sobą i jeno milczeniem w chwilach stosownych szacunek swój zaznaczając.

Szanowano ją bowiem powszechnie za to, że umiała każdemu dobre a niezbędne słowo powiedzieć.

Jędrzejowa na wiosnę z listków róży, wraz z białkiem w moździerzu utłuczonych, sporządzała krzyżyki wonne, serca i paciorki, które już to na jarmarku, już to na dziedzińcu kościelnym sprzedawała.

To był jej jedyny zarobek.

Nie znać po niej było ani biedy, ani niedostatku, bo łagodnością i ciszą, niby skrzydłami gołębimi, i biedę, i niedostatek przesłaniała.

A zresztą nikt jej nigdy o bóle osobiste nie pytał, a każdy szedł po leki na cierpienia własne i zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że Jędrzejowa też pociechy wymaga, chociaż jej znikąd zaczerpnąć nie może.

Trzeba jej przyznać, że nigdy nie płakała i nigdy o własnych smutkach nie mówiła, jeno zawsze o cudzych, czy to poradę dając, czy to kojąc, czy też wreszcie tłumacząc tych smutków niezbędność i znaczenie ukryte.

Mówiła dużo, płynnie, głosem śpiewnym, gruchliwym i o wiele młodszym od twarzy, nie tyle wiekiem, ile nieznaną a przedawnioną troską z lekka napiętnowanej.

Najczęściej ręce na kolanach splatała i głowę ku kolanom chyląc, a źrenice błękitne jakby raz na zawsze rozszerzając, mówiła o tych smutkach cudzych długo, śpiewnie, serdecznie i niby z pamięci, co tym większą budziło w słuchaczach ufność, gdyż znała te smutki dokładnie i dbała jeno o to, czy przyjęte zostały ze czcią należytą i czy ich przebieg prawidłowy nie trafił na jakąś przeszkodę postronną a zbyteczną.

I nie tylko w treści jej słów, ale w samej ich śpiewności bezsłownej brzmiała pociecha niepojęta, którą można było, jak melodię, zapamiętać i nauczyć się w myśli, potem na osobności powtórzyć i raz jeszcze wysłuchać od początku do końca, słowami żadnymi tej melodii nie obciążając.

I gdyby słuchacze, którzy w danym razie naprawdę byli *słuchaczami*, umieli swe uczucia

określić, z pewnością by powiedzieli, że znają Jędrzejową ze słyszenia tylko i nie posądzają jej o troski osobiste dlatego, że po głosie jeno rozróżniając ją na świecie, nie przypisują głosowi cierpień, z ciałem doczesnym związanych.

Ładna była, śpiewna, rozmowna, a włos jej bladozłoty połyskiwał tak nieśmiało, jakby zawsze z daleka widziany i niczyją dłonią nie tknięty.

Ujrzawszy gości, powstała z kufra i układając dziecko na łóżku, głowę ku nim w pół odwróciła.

— Złego wam się co stało? — rzekła ze współczuciem, żłobiąc w pościeli odpowiednią wnękę, aby w niej dziecko wygodniej umieścić.

— Tak! — odpowiedziała wójtowa, spuszczać oczy. — Nie wiem, czyśmy na to złe zasłużyli, ale nawiedziło nas i już od wczoraj spokój domowy zakłóca.

— Zakłóca i hańbi! — dodał wójt z machinalnym niemal, a niemniej przeto tragicznym naciskiem na ostatnim słowie.

Jędrzejowa z powrotem na kufrze usiadła i usta, od nucenia zwilgotniałe, dwoma palcami otarła z ręcznie.

— Powiadajcie wszystko, a zaraz nam się trojgu różniej na duszy zrobi — rzekła, wgarnięciem ramion przyspasabiając się do uważnego słuchania.

Zaczął wójt i zaczęła wójtowa, której wójt wkrótce pierwszeństwa w opowiadaniu ustąpił, nie mogąc ani w wymowie sprostać, ani dostatecznie w gmatwaninie wypadków ubiegłej nocy się połapać, aby im układ nadać odpowiedni.

Okazało się bowiem, że wójt, choć i bohater główny, i niejako winowajca, gadał jak człowiek źle powiadomiony, zaś wójtowa mówiła źródłowo, jak świadek naoczny, i przytaczała częstokroć tak drobiazgowo i poufne szczegóły, że wójt jeno uszu z przerażeniem nastawiał i gubiąc wątek opowiadania, z trudnością mógł się tego lub owego szczegółu we wspomnieniach własnych ze wstydem dogrzebać.

Wydało mu się nawet, że jest postronnym i od toczącej się sprawy dalekim rodzajem martwego słupca, na którym jeno od parady sterczy tablica z napisem: Wójt, a pod nią zupełna nieobecność wzmiankowanego w nagłówku człowieka.

Toteż, doczekawszy się wreszcie końca opowiadania, uczuł względną ulgę, jakby mu kto flaki, z kałduna wyprute, wtłoczył z powrotem i powiedział: „zrachowane!” — albo i nic nie powiedział.

Nie spodziewał się nawet po swej małżonce takiego wielomówstwa, ale, widać, małżonka, przemilczawszy wczoraj zbyt wiele zarzutów i żalów, pofolgowała dzisiaj swej niedoli niewieściej, tym bardziej że nie chciała Jędrzejowej żadnych wiadomości poskąpić, aby dać jej najcałkowitsze i najszersze pole do wniosków i rozmyślań.

A miała przy tym wójtowa z natury jej daną i wdzięku pełną wzbronność, że się nigdy przed mężem na niego samego nie skarżyła, aby

urody swojej dokuczliwością nie splamić i nie pokrzywdzić.

Wolała w ciszy, sam na sam ze sobą żale własne rozważać i spowiadać.

W tej chwili wszakże wspomniana cisza byłaby zgoła nie na miejscu, zaś żale, do trzeciej osoby zwrócone i w karby szczegółowego opowiadania skwapliwie ujęte, nie uwłaczały bynajmniej urodzie wójtowej i nie mogły wójta do tej urody nasrożyć.

— Oto i cała bieda, która nam się stała — rzekła, przytakując głową skończonemu opowiadaniu. — Chcielibyśmy tę biedę naprawić i miłością wzajemną w dwójnasób powetować.

— I hańby się pozbyć zawczasu — dodał wójt, aby całość zaokrąglić i ze względu na odczuwaną potrzebę udziału osobę swoją, dotąd pominiętą, do rozmowy jako tako wściubić.

Jędrzejowa, dumając, wygładziła dłonią spódnice na kolanach, jakby wraz z tym ruchem myśli swoje uporządkować chciała.

Uporządkowała je zapewne i obchwyciwszy te kolana splecionymi, na kształt chrustu

w płocie, palcami, zwięzła się w ramionach, ni-
by malejąc w czyimś uścisku i objęciu.

Ktokolwiek by na nią spojrział teraz uważ-
nie, domyśliłby się, że i kochać umie, i kochaną
być by potrafiła.

I kto wie, czy nie ta właśnie zatajona w jej
duszy i ciele, a nigdy nie wyszeptana prośba
o miłość pociągała ku niej ludzi, którzy bez-
wiednie spełniali tę prośbę, odwzajemniając się
czcią i zasłuchaniem.

— To pewna, że ci Bartłomiejowa lubczy-
ku albo duryju zadała — rzekła w zadumie, po-
między słowami śpiwnie wezbranej. — A mo-
że grabkami zjedzonego przez mrówki nieto-
perza dotknęła cię po kryjomu, aby ku sobie
zniewolić. Bo kto kocha, ten po kryjomu dzia-
ła, bojąc się, że mus do kochania zawsze jest od
samego kochania lichszy i grzeszniejszy. Ale ty
się zniewolenia tego nie lękaj i nie brzydź, bo
jest ono takie same, jak wszelka inna niedo-
ła na świecie, i tyleż w nim winy, ile w każ-
dym smutku, z którym nieraz i do kościoła
wejdiesz, aby ten smutek zziębły i zaniedba-

ny ogrzać w słońcu żarliwym, co od szyb ku podłodze kamiennej swe rozpostarcie ukośne rzuca i po drodze kęs ambony zmroczniałej złotym trójkątem, jak Opatrznością Bożą, rozwidnia. Człowiek grzeszy, a Bóg rozgrzesza. I nie wiadomo, co w niebiosach lubczyk, a co duryj oznacza, i jak Bóg pogląda na duszę ziołami tymi opętaną. Nie zapomniałeś pacierza?

— Nie zapomniałem — rzekł wójt głosem donośnym i uczuł dreszcz wstrętu na myśl o tym, że zioła nikczemne krążą dowolnie w jego żyłach, niby w naczyniu zawiłym i bez wyjścia.

— Wczoraj przed snem pacierz głośno odmawiał, a ja słuchałam, modląc się za niego — dorzuciła wójtowa, z lekka oczy czarne ku niebu wznosząc.

Jędrzejowa westchnęła, jakby to westchnienie dla własnego a nie znanego nikomu użytku z piersi mimochodem dobyła.

— Naumiałam ja się wszelkiej niedoli ludzkiej — rzekła znowu, kołysząc się w rytm zadumy. — Nauczyłam się smutków cudzych,

tak że się ich teraz oduczyć nie mogę ani od swoich rozpoznać. Bo są one jak rodzina, z samych sióstr i braci złożona. Szkoda bratu siostrę utracić, a siostrze — brata się pozbywać. Pusto by mi bez nich było na tym świecie, jakby ktoś las wyrębał albo wiosła na samym środku pola porzucił... Dręczy cię twój smutek i marnuje, ale i ty go pewno marnujesz i udręczasz?

— Udręczam — powiedział wójt po jakimś namyśle.

— I marnujesz? — dopytywała się Jędrzejowa.

— I marnuję — zgodził się wójt i potarł dłonią czoło, jakby miał spocone.

— Pozwól mu dokonać się w sobie i odejść — rzekła Jędrzejowa, i wójt teraz dopiero, sam nie wiedząc czemu, zauważył, że włosy ma złote i takie właśnie, jakie mieć powinna. — Pozwól mu odejść według jego własnych obyczajów, bo co przychodzi, to ma i odejście swoje. Nieraz ja widywałam konających i to świata zaludnionego odejście od nich, tak wielkie odejście, że aż się w głowie kołuje od nieznannej sa-

motności. Tej samotności już kilka razy napierała się Bartłomiejowa, ale jej dostać nie mogła. Sądzone jej umrzeć w tych czasach, ale się te czasy z jej duszą grzeszną rozmijają, bo żadna wiedźma skonać nie może dopóty, dopóki wiedzy swojej komukolwiek nie odda. Była ona i u mnie, prosząc, abym jej wiedzę przyjęła, ale nie chciałam, bo i własnej mam dosyć, i nie mogę głowy odrywać od tego, do czego się teraz z zamkniętymi oczyma przywarła.

Dziecko na łóżku leżące zakrzętnęło się z lekka i nacichło.

Jędrzejowa uśmiechnęła się, dając znać tym uśmiechem, że nacichło, i mówiła dalej:

— Wiedźma ona — to prawda, ale nacierpiała się wiele i od ludzi, i od siebie samej. Wiedźmą została dlatego, aby siebie za jakąś zbrodnię pokarać i na katusze piekielne skazać, bo kary ludzkiej uniknęła, pogardę mając dla niej i niechęć... Ludziom i Bogu na stronę uszła, ku złemu dłonie po ratunek błędny wyciągając. Zamiast skruchy — karę wołała dla siebie zgotować. I zgotowała. Żal mi jej, bo

może lepsza w duszy od siebie samej i może, nie wiedząc nawet o tym, karę już w sobie odbyła. A jeśli i nie odbyła jeszcze — żal mi jej, że skonać nie może, jak ten żebrak, co dłonią niecałą jałmużny na ziemię rzuconej dostać nie potrafi. Już kilka razy nadaremnie konała, a wiadomo, jak taka nadaremność męczy. Raz nawet prosiła, abym konaniu jej obecnością swoją ulżyła. Czego tylko nie robiłam, aby jej trudności konania ułatwić! I tę trudność zamawiałam, i ściel⁹ na jej głowę zrywałam, lecz nic nie pomogło! Wybiła się ze snu wiekuistego i do życia, jak do zdruzgotanego samotrzasku, wróciła. A dopóki ona nie umrze, dopóty i czary jej z ciebie nie opadną, bo znam ją i wiem, że w miłości nieustępliwa, nieugięta i dozgonna. Zarówno człowieka, jak szatana pokocha, byle tylko kochać i od kochania szaleć po wiedźmowemu.

Wójt, słysząc te słowa, spojrział na żonę i kąty ust ku dołowi osunął.

⁹ściel (daw., gw.) — sufit. [przypis edytorski]

— Jezu Chryste! — szepnęła wójtowa i odwróciwszy twarz, złapała się oburącz za głowę.

— Nieporęcznie mi jakoś z tą miłością — zauważył wójt, zwracając się do Jędrzejowej. — I urząd mi na to nie pozwala, i żona moja ani życzy sobie tego, ani chce zbyt długo przedłużać...

— A ty żonę namów, aby wiedzę od Bartłomiejowej przejęła — poradziła nagle Jędrzejowa. — I wiedźmie w skonaniu ulżysz, i czarów się natychmiast pozbędziesz.

Wójt gębę, a wójtowa oczy rozwarła.

Stali tak przez chwilę, bojąc się ruchem najmniejszym zdradzić przed sobą nawzajem uczucia, poradą Jędrzejowej wywołane.

Ukrywał je wójt przed wójtową, a wójtowa przed wójtem.

— Nie uchylajcie się przed czynem dobrym — mówiła tymczasem Jędrzejowa — i nie bójcie się wiedźmy, gdy już do świata należeć przestaje. Trzeba jej dopomóc w chwili, gdy nikt jej pomocy dać nie chce. Trudna to praca — konanie, bo i na śmierć zapracować trzeba, jak na tę chatę pustą, zanim się ją przy drodze po-

stawi, aby w niej potem zamieszkać. Po śmierci dopiero przychodzi to, co się bez pracy dostaje, a niewiele tego jest, jak wszelkiego zbytku na świecie. Chce się wiedźmie tego zbytku, więc go jej nie poskąpcie...

Wójt przyszedł już do siebie — i posmutniał, a wójtowa też przyszła do siebie — i poweselała.

— Jakże ja tę wiedzę przejmę? — rzekła, przekomarzając się nagle i wstydliwie spozierając naokół, jakby w izbie po kątach pełno było ciekawych zalotników. — Jeszcze — nie daj Boże! — w wiedźmę się przeinaczę i ludzi będę straszyla, albo sama się owej wiedzy nastraszę i po świecie będę chodziła nastraszona i taka płochliwa, jak ten zając w zbożu!

— Niekoniecznie... — zaczęła Jędrzejowa, lecz wójtowa przerwała jej z pośpiechem.

— Albo może — zawołała, ukradkiem na wójta poglądając — albo może będą mi się takie sny okropne śniły, że co chwila będę męża budziła i niepokoiła.

— Ty słuchaj, co Jędrzejowa mówi — przerwał wójt i żonę dłonią z lekka ku Jędrzejowej przysunął.

— Niekoniecznie — domawiała Jędrzejowa — wiedźmą zostać musisz. Przejmiesz wiedzę dla dobrego czynu, więc i korzystać z niej nie będziesz, a potem przy pracy koło domu zapomnisz, czegoś się nauczyła, i do dawnego stanu powrócisz.

Nastąpiła chwila kłopotliwego dla wójta milczenia, którego nikt jakoś nie przerywał, tak że wójt postanowił osobiście to milczenie przerwać.

— No więc jakże? — rzekł głosem niepewnym, nie zwracając się wyraźnie do nikogo i ciężkim westchnieniem pytanie owo samemu sobie jakby utrudniając.

— Albo ja wiem — odparła wójtowa, krzywiąc niechętnie usta i wzruszając ramionami, i natychmiast dodała: — Nie wiem nawet, którego dnia mam to uczynić i czy nie można by było obejść się jakoś bez tego i innym środkiem zadane czary poniszczyć?

— Nie można by innym środkiem, hę? — zwrócił się poufnie wójt do Jędrzejowej.

— Nie można! — odparła Jędrzejowa wzdychając. — Pojutrze, w piątek, znowu jej godzina konania wypada. Nagódźcie się do mnie wieczorem i razem do Bartłomiejowej pójdziemy.

Znowu nastąpiła chwila milczenia.

Wójt, wyczekując postanowienia żony, spojrział pytająco na okno.

— To już chyba pójdziemy razem, albo co? — rzekła wójtowa, przewlekając wyrazy, aby tą przewłoką osłonić ciekawość, która się w niej niecierpliwiła.

— A to już chyba pójdziemy — oświadczył wójt, zwracając się do Jędrzejowej i nadając swym słowom zapobiegliwie pożyczonej od małżonki niepewności tonu, aby ich zbyt nie wyodrębnić i zadośćuczynić przy tym osobliwemu wężchowi człowieka żonatego...

— W piątek wieczorem — przypomniała Jędrzejowa.

— Ano, jeśli, to tylko w piątek — odrzekł wójt na odchodne i co prędzej żonę przyjaznym poparciem męzowskiej dłoni z chaty na powietrze mroźne wynurzył.

Zapewne — jeśli nie lubczyk, to duryj udzielił jasnemu skądinąd umysłowi wójta odpowiedniego przyćmienia, a może i rodzaju cichego obłądu w chwili, gdy do czynu niebezpiecznego żonę trafny przemilczeniem pociągał. A może chciał się po prostu za wszelką cenę życia pozbyć neodpartego wpływu ziół szkodliwych, które go do schadzek z wiedźmą zniewalały. Przewidywał bowiem rozpaczliwą resztką zachowanego na wszelki przypadek rozumu, że te jego wybryki i uskoki od obowiązku i służby nie ujdą w końcu opatrnościowego oka władzy odnośnej. A wiedział, że władza owa o żadne lubczyki i duryje nie pyta, jeno ich skutki występne, jako stronę faktyczną, bierze ściśle pod uwagę i na mocy tych faktów niezbitych wszystko niezbędne rozstrzyga. Wolałby swoją i żoniną duszę byle jakiemu diabłu zaprzedać, niżli własnowolnie stać się przedmiotem

tej ścisłej uwagi i narazić się na wspomniane rozstrzygnięcie.

Toteż czuł w głębi duszy nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu władzy odnośnej wdzięczność dla małżonki za to, że za przyczyną babskich a niezrozumiałych dlań przelewów i namysłów dała się wreszcie namówić na ów czyn poratunkowy.

Starał się nawet nie zastanawiać nad powodem, który ją do tego skłonił, a który przyrównał w duszy do wstrętnej driakwi¹⁰, co to nią trzeba częstokroć pysk niechętny wysmarować, aby się jeszcze wstrętniejszego wrzodu pozbyć.

Przed piątkiem wójtostwo sprawy nieco drażliwej zgoła nie poruszali, a i w piątek mówili o wszystkim, jeno nie o tym, co im na sercu leżało.

¹⁰*driakiew* (daw., z gr. *thēriakē*: odtrutka przeciw ukąszeniu) — lek na wszelkie choroby, zawierający wiele różnych składników. [przypis edytorski]

Wójtowa na jakieś ciągoty w ramionach narzekała, a wójt z kolei na też same ciągoty pod łopatką się uskarżał.

Wójtowa często przez okno bez żadnej przyczyny wyglądała, a gdy odeszła, podchodził z kolei wójt i też wyglądał, jakby chciał to samo, co żona, koniecznie zobaczyć.

Wieczorem dopiero wójtowa przemilczaną sprawę, strojąc się do wyjścia, nagle poruszyła.

— Straszno mi trochę... — rzekła, pociągając męża za rękaw.

— Czemu straszno? — odpowiedział wójt, odymając usta z rodzajem wzgardliwego parsknięcia. — Nasza chata z kraju. Wiedźma — sobie, a my — sobie. Ona do nas z czarami, a my do niej — z dobrym czynem.

— Żal mi tych ludzi, których, niechcący, ulicą przechodząc, ni stąd, ni zowąd oczarować mogę — szepnęła wójtowa i, spuszcżając oczy, spódnice przywdzianą tak ponętnie ściągnęła, że wójt spojrział na tę spódnice i półgębek przy-

marszczył tak, niby doń lulkę¹¹ wtykał, a jednocześnie i półokiem żoniną twarz pozbadał.

— Któż ci każe z czarów korzystać? — rzekł głosem niepewnym. — Nie po to do więdźmy idziemy, aby się czarów nauczyć, jeno po to, aby się ich pozbyć.

— Pewnie, że po to idziemy, aby się ich pozbyć — pochwyciła, nieco blednąc, wójtowa. — Ale boję się, że będę w sobie samą możność czarowania, jak tę chorobę ukrytą, nosiła. Korzystać z niej nie będę, a nosić — będę. Gdziekolwiek pójdę — tam i poniosę. Pomodłę się, przeżegnam się — i poniosę. Poniosę i znowu się pomodłę...

Wójtowa, mówiąc te wyrazy, zbladła nagle do reszty. Oczy jej przymgliły się, a wargi — rozchyliły, jak od nagłego pocałunku. Dotknęła dłonią tych warg i zatrzymała ją przy nich.

I gdy wójt, sam nie wiedząc czemu, chciał tę dłoń u warg zastygłą ująć, wójtowa przeżegnała się nagle tą dłonią i stanik na piersi zapięła.

¹¹*lulka* (daw., z ros.) — fajka. [przypis edytorski]

— Płochliwa ty jesteś i do siebie teraz niepodobna — zauważył, nie mogąc się połapać w uczuciach, które żonę jego trawiły. — Możliwością czarowania gryziesz się zawczasu. Ot, co ci powiem: noś w sobie tę możliwość dopóty, dopóki ci nie obrzydnie. A ja jeno nadzieję całą będę tymczasem w twojej kurzej pamięci pokładał. Zanim zdążysz wiedzę obmierzłą osiąść, już sama z głowy twojej babskiej, jak ta wódka na mrozie, wywietrzeje. A tak — i wilk będzie syty, i owca cała.

Wymawiając słowo „wilk”, wójt władzę odnośną w całej okazałości sobie przypomniał, a przy słowie „owca” — żonę po głowie jej babskiej pogłaskał zachęcająco.

— I sama wiem o tym, że mi to z głowy wywietrzeje. Wiem o tym, ale ukoić się nie mogę, bo mi tych ludzi żal, co ich na ulicy spotkam, tych ludzi mi żal i żal! — zawołała wójtowa i załamawszy dłonie, rozplakała się nagle jakimś długo tajonym, a spodziewanym od dawna dla oczu własnych płaczem.

Wójt uspokajał ją, jak umiał, słowa pociechy przeplatając gęsto wspomnieniem zwierzchności, aby w ten sposób żonę rozplakaną tym pewniej ugłaskać i złagodzić.

Nic jednak nie pomagało. Płacz wójtowej wzrastał żałośnie z każdym słowem, które wójt z duszy dla niej ku pociesze, jako niespodziankę trafną, wygarniał.

Wszakże w chwili, gdy wójt w poczuciu bezsilności stracił już wszelką nadzieję na uciszenie coraz głośniejszą żonki, ta ostatnia sama nagle nacichła i stanik, dygotem płaczu przymięty, czujnym dotykiem dłoni odprasowała.

Skończyła — pomyślał wójt i uczuł, że wywołany żoninym płaczem smutek i w nim się jednocześnie z jej uciszeniem skończył.

Wójtowa podniosła ku niemu szeroko rozwarte i od płaczu jeszcze połyskliwe oczy.

— A może w ten właśnie sposób wiedźmy na świecie się mnożą? — spytała trwożnie głosem od łez zachłyśniętym.

— W inny one sposób się mnożą! — odparł wójt i machnął dłonią dla okazania pogardy owemu sposobowi.

— Nic mi złego wiedźma nie zrobi? — spytała jeszcze na wszelki przypadek wójtowa.

— Co tam jej na tobie zależy! — pocieszał ją wójt, jak znawca i bywalec, który, osobiście pokosztowawszy zakazanego owocu, durnemu młodzikowi płonnych obaw oszczędza i ujmuje.

— A kochasz ją jeszcze? — szepnęła wójtowa.

— Już nam i w drogę pora — odrzekł wójt wymijająco.

Wójtowa ubrała się strojniej niż na co dzień, i bicze koralu, których dobraną a gładką czerwienią szyję białą wzgórzyście przesłoniła, aż podzwaniały zgiełkliwie przy każdym jej stąpieniu.

Nadała przy tym swej twarzy wyraz tak dziwny i uroczysty, że wójt co chwila się jej przyglądał, aby stwierdzić, czy poniechała już tego wyrazu.

Wójtowa wszakże poniechać go jakoś nie zamierzała.

Przy pierwszych gwiazdach zbliżyli się oboje do chaty Jędrzejowej, która już na nich w progu czekała.

— Śpieszmy się! — szepnęła i owinąwszy się w chustę, wyprzedziła ich, aby drogę do mieszkania wiedźmy wskazywać.

Wiedźma mieszkała daleko, za wsią, na skraju lasu, w lepiance.

Las nagi i ośnieżony bielił się i połyskiwał gromadami drobiazgowo skrzącego się szronu, a lepianka wiedźmy, od śniegu garbata, przez zygzakowate szczeliny szerniałych i popękanych w rozmaitych kierunkach drzewiczek tliła się światłem, które w tych samych kierunkach snuło swe nici złote, a czasem samotnie czerwonym paciorem migotało w przyćmieniu szpary drzewnej.

Jędrzejowa drzewiczki rozwarła i weszła do wnętrza, zniżywszy się tak, jakby do kurnika wchodziła.

Wójt i wójtowa w ślad za nią weszli w milczeniu.

Wnętrze lepianki bogatsze się o wiele okazało niżli jej pozór zewnętrzny.

Na ścianie, drzwiom przeciwstawnej, wisiał dywan misternie pstrokaty, jako te strome klomby widzianych przelotem, a sztachetami w migotliwe pasy pociętych dla oka ogrodów.

Pod nim leżała właśnie wiedźma na tapczanie, okrytym chustką turecką w zawile wzory, podobne do złotych, a stokroć ze sobą pogmatwanych ósemek, które tłem amarantowym nieustannie przeświecając, zdawały się to ogasać i niknąć, to odzłacać się na nowo i obecność swą niepochwytłą po dawnemu oczom narzucać.

W nogach wiedźmy poruszył się kot czarny, zwinięty w kłębek i nieruchomy, niby mufka, w której w miejscu niespodzianym jarzyły się dwa płaskie szmaragdy, mieniając się od czasu do czasu w tejsze wielkości szlifujące się na oślep rubiny.

Łopaty, której wójt ukradkiem poszukiwał, nie było nigdzie.

Natomiast w jednym z zakątków smuklił się świecznik kilkoramienny, którego najeżone w jednym kierunku płomyki, wydzielając duszny i drętwy zapach sztywnego wosku, ślepiły się w przejrzystych, jak znaki wodne, kołach bramującego je strumieniście powietrza i czasem nieruchomiały, haftując i stebnując¹² swe złote ulistwienie na tle ściany, czarną oponą¹³ obciągniętej.

W drugim kącie stał wysoki, na kształt pnia, i skórą cielecą obity kufer gdański, do połowy przesłonięty serwetą, nierozwikłanie kwiecistą i wizerunkami niewiadomych kształtów zwierzęcych, jak śpichrz przedpotopowy, przeładowaną.

Na tym kufrze odbrzaskiem przeciwległego świecznika, niby okuciem doraźnym, połyskiwały kanty hebanowych szkatuł, poustawia-

¹²stebnować — wyszywać. [przypis edytorski]

¹³opona (daw.) — zasłona, tkanina. [przypis edytorski]

nych w bezładzie, bruźdzącym twardemu ograniczeniu ich kwadratowych powierzchni.

Nad kufrem tkwiło, dłużąc się ku niskiemu pułapowi, zwierciadło wąskie i strzeliste, w którym przygodny pocisk światła zawisnął luzem, niby strzęp złoty, w próżni, poza nim ukrytej, zawieruszony i tyleż samemu zwierciadłu, co i owej próżni przynależny.

Wiedźma, zapewne mozołem przedzgonnym utrudzona, rozpostarła się bezsilnie wzdłuż tapczanu z palcami, na kształt szczypców pustych, sterczącymi ponad piersią, okrytą zielonym w czarne kwiaty łachmanem.

Zdawało się, iż ta zieleń i te kwiaty czarne osypały się z niej przed chwilą, niby z gałęzi potwornej, co — ogołocona — najeżyła teraz swą kościstą i sękowatą rosochę.

Twarz jej zmaląła od męki i wklęśła, a znikliwie bielejąc na poduszce, uwypuklała się jedno chwilami, jak owe desenie sekretne, w ten sposób naszkicowane, że od jednej strony jawią się z wolna, a od drugiej giną z oczu pośpieszenie.

Śmierć ją tak dla siebie szkicowała, chcąc, widać, dokładnie nauczyć się kształtu tej twarzy, zanim ją na własność bezpożyteczną posiedzie¹⁴.

Wójt spojrział w tę twarz i zdjął jednocześnie czapkę, niby ślepiec, na niewidziane o coś próbujący.

Wójtowa przyparła się plecami do najbliższej ściany i rzęsy oszronione palcami osmyknęła.

Wiedźma leżała bez ruchu. Może nie zauważyła wchodzących, a może sił jej zabrakło, aby uwagę jakąkolwiek okazać.

Jędrzejowa pośpiesznie zbliżyła się do niej. — Przyszło? — spytała porozumiewawczo, chustę w obręb pod brodą ściślej zakładając.

Wiedźma w odpowiedzi palce skurczone rozpostarła, korzystając zapewne z byle jakich odruchów, których wysiłek rozmijał się z celem zamierzonym, a których niestosowność przykuwała uwagę obecnych.

¹⁴*posiedzie* — dziś popr.: *posiadzie*. [przypis edytorski]

— Przyszło — wyszeptała wreszcie, poruszając wargami częściej niżli słowa tego wymagały.

Oczy jej, niby obcęgami podważane, zakrzętnęły się w orbitach i, z kilkakrotnym przestankiem zdążając ku Jędrzejowej, zastygły na osiągniętym z trudem czatowisku.

— Nie podołasz konaniu? — spytała znów Jędrzejowa.

— Nie podołam — odparła wiedźma głośniej i męka w jej nijakiej od bólu twarzy ożywiła się nagle i ucłowieczyła w swym bardziej określonym wyrazie.

— Wójtowa przyszła do ciebie — szepnęła Jędrzejowa. — Wiedzę twoją chce przejąć i mąk cię zbytanych pozbawić.

Wiedźma oczy z miejsca, na którym zastygły, przeniosła dalej — ku wójtowej, która, wzrok ich na sobie poczuwszy, oddzieliła się od ściany i krok niepewny ku tym oczom na oślep zrobiła, jak zwierz, co z kryjówki wypłoszony, w stronę niebezpieczeństwa, jako najpierw postrzeżoną, zdąża.

Wstrząśnięte na jej szyi korale wydały dźwięk rozmaity, jak bulgotanie dalekiego strumienia.

— Idź i zbądź co prędzej kłopotu! — szepnął wójt i nogę, ku żonie dla szeptu przysuniętą, cofnął z powrotem.

— Zbęde — odrzekła wójtowa, rozszerzając nozdrza i kurczowo zaciskając pięście, ale się z miejsca nie poruszyła.

Wiedźma na wójta spojrzała.

— Przyszedłeś, sokoliku błędny? — rzekła, ocierając czoło dłonią kościstą, która przylgnąć do czoła nie mogła. — Za późno przychodzisz! Już nie mogę potańczyć z tobą po dawnemu, bo mnie śmierć za chwilę do tańca weźmie, jako ja ciebie brałam.

— A któż by tam w takiej chwili o tańcu myślał! — odparł wójt uprzejmie, aby mniemany kłopot wiedźmy usunąć.

— Nie do tańca on stworzony! — wtrąciła wójtowa głosem drżącym i od pośpiechu zdyszany.

— Do śmierci on stworzony, jeno lepiej do niej niżli ja dopasowany — odrzekła wiedźma.

— Nie turbuj się, nie turbuj! — pocieszyła ją Jędrzejowa. — I ty się do niej za małą chwilę dopasujesz.

— I do śmierci, i do miłości lepiej ode mnie dopasowany, bo to jedno z drugim w parze chodzi — ciągnęła wiedźma. — A ja i w jednym, i w drugim na jednaką trafiłam przeszkodę... Trudno mi było bez sposobów tajemnych miłości zdobywać i trudno mi bez pomocy postronnej skonać.

Wiedźma znowu spojrzała na wójtową.

— Postronna twoja pomoc, postronna! — rzekła, odgrazając się nagłym błyskiem w oczach.

— Postronna, ale samochcąca — odparła wójtowa tak dumnie, że wójt się tą dumą niespodzianą nieokreślenie zatrwożył.

— Będzie mnie twój mąż kochał dopóty, dopóki tchu ostatniego w ten świat pozostały nie wyzionę! — szepnęła wiedźma. — A jak wyzionę, bierz go po mnie i czaruj!

— Nie po tobie, bo mój był pierwiej niżli twój! — odrzekła wójtowa i szyję ku wiedźmie, jak zagniewany łabędź, wydłużyła.

— Twój było jeno po twojemu, a mój — po mojemu. Nie wiadomo, czyj bardziej, a czyj mniej! — odparła wiedźma i uśmiechem wykrzywiła wargi. — A nie lękasze się mojej wiedzy, łabędko przepiórczata?

Wójtowa męża ku wiedźmie drżącą dłonią popchnęła.

— Powiedz jej, że nie lękam się! — szepnęła gardłem zdławionym.

— Nie lęka się moja żona twojej wiedzy — powtórzył posłusznie wójt, który od pewnego czasu czuł się niby to cielę na targu, co samo nic nie czyniąc, zgiełk kupujących obecnością swoją wywołuje.

— Powiedz, że jej nie kochasz! — szepnęła wójtowa i z lękiem spojrzała na męża.

— Milcz! — zawołała wiedźma. — Milcz, bo tak w oczach twej żony spotwornieję, że mnie śmierć żadna z tych oczu przyjąć nie zechce.

— To pewno, że już lepiej przemilczę — odpowiedział wójt i, westchnąwszy, pomyślał:

Widać nie lubczyk, jeno sam duryj teraz się we mnie kotłuje.

— Nie krzywdź siebie i innych przed śmiercią! — rzekła napominawczo Jędrzejowa. — Przygotuj się do niej, bo i ona do ciebie chce się przygotować... Nie płosz jej słowami zuchwałymi, jeno powiedz teraz wszystko,

[Brak kilku kart rękopisu]

z koszykiem jagód nikczemnych... Nie chcę przebaczeniem Jego rany mojej wytrwałej lekować, bo ona jedna umie na ziemi matkę mi zastąpić... I zastępuje, bo bardzo z nią spokrewniona... A od ludzkiej kary usunęłam się, jako od strawy zbyt lichej, która męki mojej nasycić by nie zdołała, jeno by ranę moją, na nice odwróciwszy, odmieniła nie do poznania.

Wójtowa teraz dopiero dostrzegła w wiedźmie majestat tajemny, który dotąd uszedł uwagi jej czarnych a wylękłych oczu, a który obudził w niej niezrozumiałe dla niej samej obawy...

Cofnęła się ku mężowi i oczy spuściła.

— Kochaszże ją jeszcze? — spytała szep-tem ledwo pochwytym.

Wiedźma ten szept z ciszy jego własnej uchem czujnym wyłowiła.

— Milcz, jakom ci rzekła! — zawołała rozkazująco.

— Lubczyk... — zaczął wójt i zamilkł, folgując własnemu zakłopotaniu.

— Lubczyku mi na tamtym świecie zabraknie! — szepnęła wiedźma, na wójta poglą-
dając, lecz głos jej urwał się i zapodział w war-
gach nagle znieruchomionych.

Ręce jęły przebierać palcami, jakby pragnąc się ich dorachować lub stwierdzić ich znieczu-
loną obecność.

— Znów przyszło? — spytała Jędrzejowa.

Wiedźma kiwnęła głową na znak, że przy-
szło...

— Nie podołasz? — spytała znów Jędrze-
jowa.

— Nie podołam — odparła wiedźma.

Jędrzejowa spojrzała na wójtową i nic nie rzekła.

Wójtowa zrozumiała to spojrzenie i ze stanowczością niespodzianą zbliżyła się do wiedźmy.

Zdawało się, że nie było jej dotąd w izbie i że teraz dopiero zjawiała się — nagła i nieunikniona.

— Nie lękam się twojej wiedzy! — szepnęła. — Mów, póki słucham jeszcze!

Wójt zauważył w niej teraz to samo przymglenie oczu i to samo ust rozchylenie, które już widział wówczas, gdy mu o możliwości czarowania bezładnie prawiała. Tym razem jednak w twarzy wójtowej grało coś jeszcze nieugiętego i surowego nawet, czego wójt określić ani rozpoznać nie umiał.

— Póki słucham jeszcze! — powtórzyła, przechylając się w kibici nad wiedźmą i pobrzękując zwisłymi u szyi koralami. Lecz jednocześnie z tym koralowym pobrzękiem zadzwoniła drobnymi zębami, niby na alarm niewiadomy a misterny, i wzrok na koralach własnych za-

trzymała, jakby się stały dla niej obecnie jakąś strojną a jedyną ucieczką.

Wiedźma za te korale dłonią się uczepiła, aby sobie podpory jakiejkolwiek użyzyć, i zaczęła szeptać żarliwie i pośpiesznie słowa, nikomu prócz wójtowej niedostępne.

Wójtowa zadrzała, niby struna, po której smykiem potwornym prowadzono bezkarnie.

Wiedźma wrogo jej czyniła swe zwierzenia, i wrogo jej słuchała wójtowa, dreszczem co chwila wstrząsana, a dreszcz ten wiedźmie udzielał się odruchowo, jak podryg ukąszonego — przypiętemu doń wężowi.

Dwa nienawistne sobie ciała zetknęły się na niepochwytym pograniczu, a dwa nienawistne sobie oddechy zmieszały się nawzajem.

Wójt zaniepokoił się na swym miejscu, wy czekując niecierpliwie końca.

Czego się tylko dla zwierzchności nie robi! — pomyślał, rozrzewniając się i rozgrzeszając tą myślą duszę skotłowaną. — A ona nie tylko nic nie wie o naszych ofiarach, lecz na domiar

sam człek stara się o to, aby się czasami nie dowiedziała!

Upragniony przez wójta koniec nastął wreszcie, niby godzina, nie wiadomo — która...

Wiedźma wyszeptawszy się do woli, zamilkła i odpadła od wójtowej, jak pijawka, krwi zepsutej syta.

Wójtowa odskoczyła i tyłem, wzroku jeszcze od wiedźmy nie odrywając, przysunęła się do męża, jak do spodziewanego oparcia.

Uchem ku wiedźmie podana, zdawała się wciąż nasłuchiwać jej szeptu, niby turkotu kół dalekich, a potem — nagle w oczy wójtowi lękliwie i ciekawie zajrzała.

— To i już? — spytał wójt, skracając widocznie jakieś dłuższe, a obaw pełne pytanie.

— Już — odrzekła wójtowa niemal pieszczotliwie i dłonią z lekka ręki jego dotknęła, jakby pragnąc tę rękę kosmatą oswoić lub sprawdzić na niej tożsamość swego dotyku.

— Już! — ozwała się wiedźma. — Już ona teraz dziedzictwo moje w sobie nosi, jak ta ryba, co pierścień złoty połknęła. I jeno dusza

młoda w nóżkach się jej białych niecierpliwi, ostatniego tchnienia mego wyczekując.

— Czas mam, więc czekać potrafię! — wycedziła wójtowa przez zęby, tak szczelnie zaciśnięte, jakby je na klucz rdzawy zamknąć chciała. — Czekam tak samo, jak i ty — nie inaczej. Obydwie czekamy.

— Obydwie — potwierdziła wiedźma.

Wójtowi w tej chwili właśnie zaroilo się we łbie mętne, a szalejące jeszcze, wspomnienie tańca z ciałem, które oto do konania się nagliło...

I w chwili, kiedy wójt natrętne wspomnienie taneczne bezwiednym ruchem rąk, jak zmore, odtrącił, wyciągnęły się ku niemu łapczywie dłonie wiedźmy i szperając w powietrzu, spotkały się i splotły z jego dłońmi, zanim cofnąć je zdążył.

— Wstać mi dopomóż! — szepnęła. — Ostatnia to posługa twoja, tancerzu zapóźniony!

Wójt pociągnął za ręce, jak za badyle chwastu spróchniałego.

Wiedźma zwlekła się z tapczana.

Usunął się wówczas od niej, jak od jaru, napotkanego w drodze. A ona powstała chwilę, siły przedostatnie skrzętnie ciułając i ostatnią bezsenność rozniecając w sobie żarliwie.

Na jej zmurszałych od męki policzkach, ni-
by na zgliszczach nie dogasłych, zażegły się z wol-
na wypieki plamiste z odkreślonymi na nich
zmarszczkami bezładnie pomiętej poduszki. Bar-
wiła się raz jeszcze i trwała na skraju uchodzą-
cego życia.

— Zapomniałam, zapomniałam! — szep-
nęła, wskazując zwierciadło. — Zajrzeć tam —
przed śmiercią zapomniałam!

Uśmiechnęła się do własnej zapominaw-
czości i krokiem za dużym, nie dostosowanym
do odległości wskazanej mety, ni-
by w daleką wybrawszy się wędrówkę, pobrnęła niedo-
łężnie ku zwierciadłu.

Dowędrowała wreszcie i zajrzała w jego głę-
binę. Wypieki na jej policzkach zatliły się wy-
raźnie, sztucznie brukając twarz nie dobranym
do tej bladości różem, a sękate ręce pokwapiły

się ku zwierciadłu, chcąc się przedostać do samego wnętrza jego ułudnie rozwartej alkowy¹⁵, lecz pokurczyły się tuż u wnijscia¹⁶, w tym miejscu, gdzie się właśnie nieobecność drzwi wszelakich zaczynała...

— Bóg! — szepnęła wiedźma, oczyma dowiadując się o tym, o czym obecni powiadomić swych oczu nie mogli. — Zamiast matki — Bóg w zwierciadle! O!

[Brak kilku kart rękopisu]

Oczy jej, źrenicą i białkiem usilnie wezbrane, zatoczyły po izbie krąg niewiadomy, a tak wszystko po drodze na niewidziane zagarniający, że każde z obecnych poczuło się w tym kręgu niby w miejscu, którego dotąd jeszcze w izbie nie było...

Jędrzejowa spojrzała w te oczy.

— Raz jeszcze — szepnęła niemal modlitewnie — raz jeszcze oczyma tymi świat na odchodnym ogląda, ale go już nie poznaje, bo tak

¹⁵*alkowa* — pokój, sypialnia. [przypis edytorski]

¹⁶*wnijscie* (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

się jej odmienił, że nie mogłaby dłużej w nim przebywać.

Wójt zadrżał nagle. Wydało mu się, że w tym świecie odmienionym wraz z wiedźmą teraz przebywa, czarami z nią jeszcze związany.

Z piersi wiedźmy dobyło się rżenie tak ciche i dalekie, niby obojętny jej ciała brzęk złapanego komara. A brzęk ten wystarczył, aby odąć z lekka jej wargi, które jednocześnie duszę wyzionęły.

Jędrzejowa, chustę z głowy zrzuciwszy, przesłoniła nią zwierciadło.

— Tak lepiej będzie... — szepnęła i poduszkę zdjętą z tapczana zmarłej pod głowę podesała.

— Tak lepiej będzie — powtórzyła i zamilkła.

W lepiance nastąpiła cisza, a wśród tej ciszy nagle czyhanie przedmiotów martwych na upodobnienie się im żywego ciała ludzkiego, które tu przed chwilą jeszcze panowało.

Wszystkie sprzęty izdebki zdawały się rozpoznawać i tajemnej pewności siebie nabierać.

Dywan na ścianie wzmógł swoją pstrokatość i napuszył swe klomby wełniane. Chusta turecka pomnożyła liczbę złotych ósemek. Szkatuły hebanowe zwiększyły objętość i wygodnie rozparły się na kufrze gdańskim, który pośpiesznie urósł w oczach obecnych. Kwiecista serweta, kufer ów przesłaniająca, uwypukliła przesłepione dotąd kształty zwierząt nieznanych, roztasowując je kabalistycznie po swojemu, jakby znużona ich dotychczasowym układem. I gdy świecznik, niby na palcach dla rozejrzenia się po izbie wspięty, wyżej, zda się, uniósł swe światło kilkoramiennie, kot czarny, na tapczanie dotąd znieruchomiony, zeskokczył nagle na ziemię i grzbiet najeżywszy, bokiem do martwej wiedźmy się przysunął, aby u nóg jej polec w miejscu, które zapewne w jego rubinowych teraz ślepiach odpowiadało opuszczonemu przed chwilą stanowisku na tapczanie, jakby chciał w ten sposób zmianie, którą zwęszył, dawny pozór przywrócić.

— Wierności dochowuje — szepnął wójt, kota oczyma wskazując, i pomyślał, że zapew-

ne czary, zadane mu przez wiedźmę, wraz z nią na tamten świat się przeniosły. Wójtowa brwi marszcząc, na ciało spojrzała.

— Nawet pomodlić się za nią nie można — rzekła z gniewnym, a świadomym swej słuszności przerażeniem, jakoby wyrzut zmarłej czyniła za to, że modlitwą obdarzyć jej nie może.

— Można! — pochwyciła Jędrzejowa. — Do dom wracajcie, a ja się za nią jako tako pomodlę. Zawiniłam przeciwko niej, że nie chciała jej wiedzą duszy własnej zatroskać, a i przeciw tobie zgrzeszyłam, że brzemię tej wiedzy na głowę twoją zepchnęła.

— A czemuż nie na własną? — spytała trwożnie wójtowa, którą teraz dopiero zdziwiła dawniejsza namowa Jędrzejowej.

— Nie mogłam! — odparła Jędrzejowa. — Sił zbrakło. Syna się bałam, że gdy podrośnie, matkę rodzoną za to potępi albo wyrzut jaki dozgonny uczyni. Nie znam go jeszcze, więc nie wiem, jakimi oczyma na to by popatrzył. Lecz siebie znam i wiem, że wiedzę taką zdo-

bywszy, a nuż nie oparłabym się pokusie, bo opierać się nie umiem, dlatego też syna mam... A ty się oprzesz, boś płochliwa, i jak sarna od grzechu w bok uskoczysz.

Wójtowa o korale dłoń zagrzaną ochłodziła.

— Mogłażeś innym sposobem czary odegnąć? — spytała podejrzliwie.

— Spróbować mogłam — odrzekła Jędrzejowa — ale i tego nie chciałam.

Wójt ręką machnął, jakby żalowi niewczesnemu na pożegnanie.

— Czemu? — spytała wójtowa.

— Pewno bardziej o tę grzeszną niżli o ciebie strojną się troskałam. Śmierć jej była potrzebna i tę potrzebę czułam tak, jak czasem brak chleba czarnego w chałupie. Chciałam jej twymi rękami jałmużnę podać ostatnią. Głód śmierci jej doskwierał, nakarmić ją chciałam, bo znam głód wszelaki. Wiem, że ty choć narowna i niespodziana, ale dobra i serdeczna, jeno mi się wydało, że i o złych pomyśleć należy. Przebacz zawczasu.

— Nie gniewam się za to na ciebie — rzekła wójtowa po namyśle.

— Do domu wracaj, a jutro przyjdę do ciebie — pocieszyła ją Jędrzejowa i twarz jej przybrała nagle obrzędowy wyraz wprawnej znachorki. — Wieczorem przyjdę i nauczę, jak się masz wiedzy nabytej pozbyć. Nauczę, jak tę wiedzę zamówić i na błota odrzucić, i na trzciny zwać, i na głębokie wody posłać. Na wodzie ją potopisz, na ogniu popalisz, siekierami porąbiesz, nożem pokłujesz, a potem Imienia Jezusowego wezwiesz. Sam Jezus nie przyjdzie, a Imię Jego przyjdzie. I przyjście tego Imienia śpiewne będzie, i posłyszysz je, i poznasz. A na dźwięk tego Imienia kolano wszelkie upadnie: niebieskie, ziemskie, piekielne. A gdy upadnie niebieskie — uśmiechniesz się, a gdy ziemskie — westchniesz, a gdy piekielne — spłoszysz się i w popłochu onym wszelka wiedza ciebie opuści. Idź do domu, idź! Jutro wieczorem przyjdę.

— W swojej sprawie chcę jeszcze słowo powiedzieć — rzekł wójt, który uczuł nagle, że i osobę jego, i sprawę główną zaniedbano,

a właściwie przemilczano. — Jak to z tymi czarami teraz będzie? Chyba już i znaku po nich nie ma?

— Ani znaku, ani śladu nie ma! — rzekła Jędrzejowa i, wskazując ciało, dodała:

— Nic nie ma, prócz ciała.

Wójt doznał takiego wrażenia, jakby mu kołtun wybujały z głowy spadł niespodzianie.

— Chwała Bogu! — szepnął. — Raźniej i swobodniej będzie człekowi na świecie bez tego brzemienia.

Wójtowa pierwsza wysunęła się z lepianki. Wójt za nią pośpieszył.

Na dworzu już będąc, usłyszeli śpiewną a szybką gawędę Jędrzejowej. Może modliła się głośno, a może sama ze sobą tak gawędziła, bo zawsze miała i sobie, i innym zbyt wiele do powiedzenia, i każdy, od niej odchodząc, czuł, że czegoś mu jeszcze domówić nie zdążyła.

Wójt gnał co sił. Wójtowa za nim noga w nogę, jak na mustrze, kroczyła.

Barwiste, a nieodczepione w oczach pozostałe wspomnienie pstrokatego wnętrza le-

pianki nikłym widmem dywanu przesłaniało im białość śniegu, który w księżycu, jak dzień pochmurny, majaczył.

Wójt najczęściej ten dywan właśnie widywał, a wójtowa — serwetę.

— Czujesz wiedzę? — spytał nagle wójt i na żonę się, idąc, obejrzał.

— Czuję — odparła wójtowa i przyśpieszyła kroku.

— Trawi cię czy jeno łechce? — spytał znowu wójt i też przyśpieszył kroku, przesadzając przy tym garb śniegowy, który na drodze mu się napuszył.

— Dotąd łechtala, a teraz to już i trawić po swojemu zaczyna — rzekła wójtowa i przystanęła.

— Stłum! — poradził mężnie wójt i też przystanął.

— Boję się tłumić, bo nie znam się na tym. Do jutra wolę zaczekać, aż Jędrzejowa przyjdzie — odpowiedziała wójtowa i w dalszą drogę ruszyła.

— Gdyby na mnie taka wiedza trafiła, razem ze śliną na ten śnieg bym ją wypluł albo razem z butami zzuł i precz na śmietnik wyrzucił! — zawołał wójt z mocą i też w dalszą drogę ruszył.

— Sam tego chciałeś — odezwała się spokojnie wójtowa.

— Sam? — obruszył się wójt i dał większy, niż zazwyczaj, krok naprzód.

— Sam — powtórzyła jeszcze spokojniej wójtowa.

— Nigdy ja sam niczego nie chcę, jeno zawsze z tobą na wspólnkę. I tym razem wspólnka była, więc się jej nie wyrzekaj — odparł wójt i splunął na stronę.

Wójtowa nic nie odpowiedziała.

— Bardzo cię wzięło? — spytał wójt po chwili milczenia.

— Jużci, że wzięło! — zagadnęła szybko wójtowa, jakby tego właśnie pytania wyczekując. — Niby nic, a jednak możliwość czarowania już w sobie od niechcienia noszę i jeno do Boga się modlę, aby ludzi niewinnych po drodze

gdzie nie wypatrzyć. A najbardziej bym znajomych spotkać teraz nie chciała.

Wchodzili właśnie do chaty.

Wójt po izbie się rozejrzał, jakby po raz pierwszy w życiu samego siebie odwiedził.

Uśmiechnął się, stwierdziwszy, iż wszystko zastał w porządku należytym i na dawnym miejscu.

Na widok znajomego ładu sprzętów domowych dusza wójtowska rozpogodziła się i pogrzyła w tym ładzie, niby w kąpieli cieplej a niezbędnej.

— Dobrze tu i spokojnie! — rzekł wójt z dumą gospodarza, który w każdym przedmiocie dojrzały owoc pracy własnej widzi.

Wójtowa zadumana siadła w milczeniu na zydlu, a wójt do okna się zbliżył i spojrzął w świat księżycem objęty.

I znowu uwagę jego zwróciło wzgórze nagromadzonego pod oknem śniegu ze śladem stopy ludzkiej na uboczu. Światło izdebne, jak dawniej, rozwidniało sztucznym poblaskiem tę

samą połąć śniegu, nadając jej alkierzową względem całości ustronność. W zagłębieniu od obcasa tkwił po dawnemu patyk, w dziurawą i niecałą czapkę zuchowato wystrojony.

Tego rodzaju patyki tak się czasem zżyć i zrosnąć z miejscem potrafią, że żadnemu przechodniowi myśl do głowy nie przyjdzie, aby je ze stanowiska zajętego wykoleić.

Zdarza się wprawdzie, że nieproszony łobuz-urwipoleć pociskiem kamienia czapkę z nich strąci, nie tyle nawet dla zabawy, ile po prostu dlatego, że ujrzawszy w śniegu kamień, który go korci, nie wie, do jakiego użytku mógłby ów kamień naprędce zastosować. Ale i to się rzadko zdarza, bo najczęściej taki urwipoleć patykowi owemu raczej niespodzianego łachmana ze swego przyodziewku jeszcze dorzuci, niżeli starego ujmie.

I bywa tak, że tego rodzaju patyki dopiero roztopy wiosenne pozbawiają i stroju, i stanowiska.

Wójt spojrział na ten patyk i mimo woli doznał takiej radości, jakby ojca rodzzonego po długiej rozłące do serca przycisnął.

Przeniósł wzrok z patyka na żonę, przeciągnął się rozłożyście i ziewnął od nadmiaru błogości.

— Żadna mię siła teraz już do tańca po polach śnieżnych nie zmusi! — rzekł z gruntownym poczuciem odzyskanej swobody i przypomniawszy sobie ów taniec, grzeszne oczy winowajcy na małżonkę w milczeniu wyraczył.

— Brzydka ona była — rzekła wójtowa, krzywiąc się i zydel z jednego miejsca na drugie opodal przesuważąc.

— Nie żyje, więc już nawet i nie brzydka. Nie ma jej, ot co! — zawołał wójt tryumfująco i palec ku górze wzniesiony, niby skarb odzyskany, żonie pokazał.

Wójtowa przez chwilę na ów palec bezwiednie patrzyła.

— Jeszcze nam po niej wiedza przeklęta została — szepnęła wreszcie, uporczywie do oczu mężowskich zaglądując.

— Kpię sobie z wiedzy wszelakiej! — zawołał wójt i poweselał nagle. — Teraz ja — pan i wolno mi kpić i o drogę nikogo nie pytać! Co zechcę — to zrobię, a czego nie zrobię — tego i chcieć nie będę!

A zachciało się właśnie ni stąd, ni zowąd wójtowi sprawdzić naocznie, co za cudła¹⁷ nadprzyrodzone żona jego na śmiech odzyskanemu mężowi zmajdrować teraz potrafi.

Dopóty go ta zachcianka korciła, dopóki z izby nie wybiegł i z łopatą w ręku nie powrócił. Dwie miał łopaty — starą i nową. Nową wybrał, białą jeszcze i świeżym drzewem, niby bielizna wyprana, pachnącą.

Wójtowa na widok łopaty poruszyła się niespokojnie na zydlu i zarumieniła po uszy.

— Spróbuj! — zawołał wójt i łopatę podał pochyło, jak do jazdy.

— Czego mam spróbować? — spytała wójtowa, udając, że nie rozumie skierowanych ku niej zamiarów i, powstawszy z zydlu, usunęła się od wręczanej natrętnie łopaty.

¹⁷*cudło* — *cudo*. [przypis edytorski]

— Niby to nie wiesz, czego masz spróbować? — odrzekł wójt, zapalczywie mrużąc lewe oko. — Zawsze domyślna, a teraz o północy w owczą skórę chce się przede mną wystroić! Ot — przekonać się pragnę, czy nie zapowietrzysz na łopacie, czy nie zapowietrzysz?

Widać wójt dotąd jeszcze w duszy resztkę wygasłego szału dopiastowywał.

— A któż to widział, aby sama wójtowa, na łopacie zapowietrzona, jeździła? — zachnęła się boleśnie dotknięta małżonka, uczuwszy się nagle — samą wójtową.

— Nikt nie widział, jeno ja właśnie chcę widzieć! — nastawał wójt. — Spróbować nie zawadzi. Prócz mnie i ciebie, żadnej innej zwierzchności w izbie, chwała Bogu, nie ma. Poza izbę nie wyfruniesz. Sam ci tego zakazuję. Mało wiele pofiglujesz od niechcienia w izbie, pułapu jeno głową czy łopata tykając, i zaprzestaniesz, a ja tymczasem popatrzę. Jakem wójt, chce mi się żonę własną choć raz na łopacie dla uciechy mojej mężowskiej zobaczyć!

— Nie będę wiedzy nabytej do łopaty bezrozumnej na śmiech ludziom stosowała — odparła wójtowa, wzruszając ramionami tak szybko i często, że aż mówić sobie samej co chwila przeszkadzała. — Znajdę lepsze dla niej zastosowanie.

— Nie znajdziesz! — zaprzeczył wójt, byle żonie zaprzeczyć.

— Znajdę! — zawołała wójtowa i nogą o ziemię tak mocno tupnęła, że bicze koralowe z szyi jej się zsunęły i musiała je dłonią, jak fałę wezbraną z jękiem, podtrzymać.

— Tupnij raz jeszcze, a na łopatę wskocz! — upierał się wójt wesoło. — Dla mnie to zrób, bo mężem twoim jestem i wiem lepiej od ciebie, czego chcę i jakie mam potrzeby. A i sama rada byś sprawdzić, czy masz siłę tajemną, czy nie masz.

— A nie nabierzesz do mnie odrazy? — spytała nagle wójtowa, przekomarzając się jeszcze i dłonią twarz zawstydzoną osłaniając.

Wójt zgadł, że rada by sprawdzić, czy ma oną siłę, czy nie ma. A jeśli nawet i nie zgadł,

w każdym razie myśl trafią żonie w czas podsunął.

— Nie nabiorę! — upewnił, ręką się od domniemanej odrazy odmachując. — Pośmieję się jeno i nacichnę. Raz kozie śmierć i raz wójtowi zabawa! Nigdy się dotąd nie śmiałem, służbie pilnie oddany.

— Jakżeż ja mam to do ręki wziąć? — rzekła wójtowa i stroniąc od łopaty, jednocześnie dłoń po nią wyciągnęła.

— A bierz tak, jak zawsze — odpowiedział wójt i po raz setny łopatę podał.

Wójtowa ujęła łopatę w dłoń lewą, bo w prawej bicze koralu, z szyi spadłych, trzymała.

— Cóż ja mam z tym teraz robić? — spytała wójtowa, bocząc się na łopatę tak, jakby po raz pierwszy w życiu sprzęt tak dziwny i niepojęty ujrziała.

— A cóż masz robić? Okracz i już! — rzekł wójt krótko i zwięźle.

— Jakżeż ja to okraczę — rzekła wójtowa i głowę w ramionach od niedoszłego śmiechu dla przyzwoitości schowała, a jednocześnie, za-

nim wójt stwierdzić zdążył, okraczyła mu tuż popod nosem łopate.

— Jakżeż mam to do biegu teraz znaglić? — spytała bezradnie, rady zbawiennej od wójta wyczekując.

— Zawołaj: „wio!” — poradził wójt. — Każda kobyła wołanie takie zrozumie.

— Wio! — zawołała wójtowa i z przestraszeniem spojrzała na pułap.

Łopata nie poruszyła się z miejsca.

Wójtowa zawstydziała się, a i wójt doznał zawodu na widok czynu nieudanego.

— Nie tak to łatwo, jak się zdaje — zauważył, w głowę się skrobiąc. — Widać chcesz, a łopata nie chce.

Wójtowa pogłaskała dłonią łopate, jak konia, który stanął przed gankiem.

— Niech no ja tylko przypomnę sobie, jak to ona wówczas po niebie, niby zaraza rozkiełznana¹⁸, grasowała! — rzekła cicho i zmrużyła oczy.

¹⁸rozkiełznany — pozbawiony wędzidła; rozzuchwalony. [przypis edytorski]

Wójt też oczy zmrużył, lecz przez zmrużone widział dokładnie, jak nozdrza wójtowej wzdęły się i rozzuchwaliły, a wargi zwilgotniały nagle i rozwarły się luźne a chciwe...

— O, tak, tak! — szeptał zachęcająco.

— Tak, tak! — powtarzała wójtowa, kurczowo ściskając łopatę, jakby dusiła szyję mdlejącego łabędzia...

— Teraz powiedz: „wio” — poradził znowu wójt i otworzył oczy.

— Wio! — szepnęła wójtowa i biczami koralu łopatę z brzękiem uderzyła.

Łopata i tym razem nie poruszyła się z miejsca.

Wójt posmutniał.

— Pewno ci się wiedza nabyta zmąciła jakoś we łbie, albo i po twojemu przeinaczyła — rzekł i głową własną, na myśli mając głowę żoniną, pokiwał.

— A może nawet nie wysłuchałaś jej należycie i zastosować teraz nie potrafisz. Mów, co ci wiedźma gadała!

— Trudno mi to opowiedzieć, bo słuchając, aż zawrotu głowy dostałam — tłumaczyła się wójtowa, oddając mężowi łopatę. — Straszno mi się zrobiło i sama już nie wiem, co mi wiedźma do ucha szeptała...

Wójt pomyślał, spojrział na żonę i jeszcze raz pomyślał.

— Może to i lepiej — rzekł wreszcie z westchnieniem. — Kto wie, jakich głupstw — nie daj Boże — napłodziłabyś jeszcze, wiedzę taką naprawdę posiadając i tą wiedzą ludzi, po drodze spotkanych, trapiąc rozmaicie. Ani mnie, ani tobie wiedza taka nie przystała.

I nagle na twarzy wójta zjawił się dawny, a zaniedbany od pewnego czasu wyraz służbiwego zastanowienia i statku. Zdawało się, iż sam siebie w tej chwili do wzięcia w posiadanie osoby swej własnej ośmiela i upoważnia. Uczuł, że po długim wykolejeniu wraca do zachwianego na ziemi stanowiska.

Wójt znowu stał się wójtem.

— Może to i lepiej — powtórzył głośniejszym, donioślejszą treść nadając tym samym wyra-

zom. — Co było, to minęło, i wara mu nas niepokoić!

Wójtowa, patrząc na odrodzonego męża, odzyskała nagle zaniedbane w ostatnich czasach, a zapożyczone ongi od dwóch z dala widzianych panien ze dworu, ruchy, powabu pełne i przewłoki.

— Już i spać pora — rzekła, z dawną wprawą tych ruchów zażywając.

— Pora — potwierdził wójt.

I gdy wójtowa, stanik na piersi rozluźniając, do izby przyległej się udała, zdawać by się mogło, że aż dwie panny ze dworu, niezupełnie ze sobą pogodzone, do wnętrza izby, wójta wyprzedzając, wkroczyły.

Wójt w ślad za żoną podążył.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-polskie-wiedzma>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, Klechdy polskie, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1978

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Szostak, Aneta Rawska, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: Lost., Camdiluv ^â™¥@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przebieg dowodzenia na konkretny przykład szczegółowy na stronie Fundacji.

BOLESŁAW LEŚMIAN - Wiedzma